Nr. 51. Warszawa, dnia 8 (20) Grudnia 1871 roku. ROK VII.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Świata Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Serya druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie; na Prowincyi: rs. 1 k. 20 kwart. (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼ oraz na zapakowanie i ekspedycyę k. 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u **Leitgebera**; we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

OD REDAKCYI.

W dopełnieniu do odezwy umieszczonéj w Nr. 46 „Opiekuna", zwracamy raz jeszcze uwagę pp. Prenumeratorów, iż pismo nasze od Nowego 1872 roku, wychodzić będzie w powiększonéj o cały półarkusz czyli o połowę dotychczasowego druku, objętości, który, co dwa *tygodnie*, dołączać się będzie do zwyczajnego numeru, a na który to dodatek, lżejsze utwory, mianowicie zaś *Powieść*, zsunąć chcemy, tak, aby reszta szpalt w „Opiekunie Domowym" poważniejszym tylko, naukowym, społecznym i literackim, osobliwie zaś *traktującym o sprawach wychowania*, artykułom, swobodniéj poświęconą być mogła.

Brak zupełny w kraju dzieł pedagogicznych, jako też organów prassy, zajmujących się zadość uczynieniem téj jednakże najradykalniejszéj potrzebie naszego społeczeństwa,—skłonił nas do nadania pismu, w wybitniejszéj jeszcze formie, tego kierunku, który od półroku, stosownie do ogłoszonego programu, staramy się stale propagować.

Stajemy przez to na stronie, wobec wszelkiéj, spekulacyjnéj pomiędzy sobą, rywalizacyi innych pism peryodycznych i liczymy tém samém na dalsze poparcie ze strony poważniejszéj, a kochającéj *światło*, części Publiczności, która wspólnie z nami, przyjmując za hasło swego kształcenia się *żywotność i postęp*, odrzuca jednakże ów *materialistyczny* i przeważnie kwestyom *dnia* poświęcony kierunek m y ś l i, jaki stał się, niestety, przewodniczącym w wielu motorach naszéj działalności piśmienniczéj.



Gwiazda Zaranna. (Kopia z obrazu Zarzyckiego).
Patrz artykuł p. t. Aleksander Zarzycki. (str. 402).

Prenumeratorom, którzy przed 1-m jeszcze Stycznia 1872 r. złożą Redakcyi, wprost pod jéj adresem, całkowitą *roczną* prenumeratę, plus 20 kop. —wyszlemy, stosownie do uczynionego już kilkakrotnie ogłoszenia, z pierwszym zaraz numerem Opiekuna, po Nowym Roku, *Kalendarz Warszawski Illustrowany*, w książce, wartości księgarskiéj 50 kop. (wraz z przesyłką), a który, w rzędzie wszystkich innych kalendarzy, wydanych dotąd na rok przyszły, odznacza się bardzo, tak pod względem treści i doboru artykułów, jako też przedewszystkiém, nader pięknémi drzeworytami.

Zresztą dla wszystkich pp. Prenumerarów, których zarówno to wczesne przesłanie prenumeraty prosimy, ogłaszamy raz jeszcze cenę prenumeracyjną, z nadmienieniem, że ta, pozostając i nadal, pomimo powiększenia objętości pisma, tą samą,— czyni z „Opiekuna" *najtańsze pismo w kraju*.

Prenumerata ta wynosi:

Na prowincyi:

rocznie . . . . rs. 4 kop. 80
półrocznie . . „ 2 „ 40
kwartalnie . . „ 1 „ 20

W Warszawie:

rocznie . . . . rs. 3 kop.—
półrocznie . . „ 1 „ 50
kwartalnie . . „ — „ 75
miesięcznie . . „ — „ 25

Dla składających *roczną* prenumeratę przed 1-ym Stycznia i *wprost pod adressem Redakcyi: (w Warzawie, ul. Cmielna, dom Smolikowskiego, Nr. 3 nowy)*,—

cena z kalendarzem:

Na prowincyi rs. 5.
w Warszawie rs. 3 kop. 20.

P. S. Ponieważ powieść Julii Kavanagh, p. t. *Druga Miłość*, drukująca się w Opiekunie, zostanie tylko w tym roku doprowadzoną do końca 1-go tomu, i w przyszłym roku, niezależnie od powieści drugiéj Adama Bełcikowskiego, p. t. *Dług honorowy*, przeznaczonéj na dodatek, ciągnąć się daléj będzie, — nowym przeto prenumeratorom swoim, zapisującym się na rok 1872, Redakcya tom I-szy wzmienionéj powieści *Druga Miłość*, wraz z całym półrocznym kompletem numerów Opiekuna z 1871 r. (poczynając od 25 Nru), de-

cyduje się odstąpić za *połowę ceny zwykłéj półrocznéj prenumeraty*, czyli za dodanie do ceny prenumeracyjnéj *prowincyonalnéj:* 1 rs. 20 kop., *warszawskiéj* zaś: 75 kop. Życzący więc sobie zaprenumerować na rok 1872 Opiekuna, razem z półrocznym kompletem numerów tegoż pisma z 1871 roku, czyli z tomem I-szym powieści: *Drugą Miłość*, złożą:

Z prowincyi: rs. 6 — *w Warszawie* rs. 3 kop. 75.

Razem zaś z kalendarzem warszawskim illustrowanym:

Z prowincyi rs. 6 kop. 20—*w Warszawie* rs. 3 kop. 95.

Przypominamy, że ten ostatni warunek, ma wagę tylko do 1-go Stycznia 1872 r.

SULAMITA.

(Dramat wschodni w pieśniach).

PRZEZ

BOGUMIŁA ASPISA.

VII.

Nieznajomy starzec-pielgrzym, z harfą w ręku, przestąpiwszy zaledwie próg komnaty, zatrzymuje się z oznakami zgrozy i zdumienia na widok Sulamity, i usuwając się następnie chwiejnym krokiem na stronę, przepuszcza mimo siebie orszak cały, który, doszedłszy do środka sceny, grupuje się w oddzielnych gronkach przed posłaniem, gdzie też Sulamita siedzi nieporuszona, nie patrząc na nikogo i ze spuszczoną głową.

MISTRZ DWORU (*występując piérwszy*).

Potrójny hołd, trzykrotny pokłon nizki
Królowéj Judy i perle Galilei...

CHÓR DZIEWIC.

Któż nie zna jéj?

CHÓR SKOCZKÓW.

Wdzięcznéj jak łań, gdy po opoce ślizkiéj
Mknie w zręcznych skokach, do leśnéj śpiesząc kniei...

CHÓR DZIEWIC.

Mknie od wiatru lżéj!

CHÓR HARFIARZY (*przygrywając*).

Słodkiéj jak dźwięk, co w harfie z cnego drzewa
Drży, gdy w jéj struny uderzy prorok-wieszcz...

KILKA DZIEWIC.

Co serce ma...

INNYCH KILKA DZIEWIC.

Co miłość zna!

CHÓR CZARNYCH NIEWOLNIKÓW.

Świeżéj, jak noc—jak szron, co piaski zlewa;
Jasnéj, jak w puszczy z brylantów srébrny deszcz...

BŁAZEN DWORU.

(*wybiegając naprzód w podrygach i podskokach*).

Wiernéj jak—jak...

(*Zawraca się i chowa w tłumie poszturchiwany przez wszystkich*).

SULAMITA.

(*podnosząc nagle głowę—z pogardą*).

Jak wąż na szyi lwa!!

CHÓR DZIEWIC (*z pomieszaniem*).

Słyszycie ją?...

(*Starzec, który dotąd ciągle stał nieporuszony w oddaleniu, posuwa się o kilka kroków naprzód*).

MISTRZ DWORU.

Jak lwica przy lwa boku,
Dumna, że on, przed którym wszyscy drżą,
Czyta swój los i szczęście swe w jéj oku
I—kocha ją.

SULAMITA (*zrywając się—gwałtownie:*)

Milcz z słowem tém! bo staniesz z niém jak wryty,
Gdy ręką tą je zerwę wnet z twych warg,
Byś pośród klątw i grzmiących na mnie skarg,
Szedł wieścić mu tę wierność Sulamity!

(*Na te słowa, starzec przysuwa się bliżéj jeszcze i stanąwszy naprost Sulamity, bada ją ognistém spojrzeniem*).

RÓŻNE GŁOSY.

Krzyk—złość—żal—gniéw?

INNE GŁOSY.

W odpowiedź na pochwały nasze?

CHÓR HARFIARZY.

Na nasz śpiéw?...

MISTRZ DWORU.

Obraził-żem królowę naszę słowem,
Co samę cześć i hołd wyraża dla niéj?
Gdy tak—to wraz przeprosić ją gotow-em.

(*Przechylając się z pokorą*).

Przebacz mi pani!

CHÓR CZARNYCH NIEWOLNIKÓW.

Jak niebo, gdy zaciemni się chmurami,
Raz słońcem z nich, znów ogniem gromów błyska,—
Tak oko jéj, kto śmiał w nie pojrzéć zblizka,
To budzi strach, to znów czułością mami.

CHÓR DZIEWIC.

Lecz, jako duch błądzący po Edenie,
Tak smutném jest to śliczne jéj wejrzenie.

CHÓR HARFIARZY.

A jako blask bijący z wód otchłani,
Tak wzrok ten jéj, łaskocząc, jeszcze rani...

CHÓR SKOCZKÓW.

Więc kolce skryj, Saronu piękna różo,
A ujrzysz wnet wesołe nasze skoki,
Jak wszyscy my, stanąwszy w krąg szeroki,
Rozniesiem się szaloną w tańcu burzą—
Aż krzyk ten nasz, tupanie nóg, klask dłoni,
Po górach się łoskotem ech rozdzwoni.

CHÓR HARFIARZY.

Więc ukój gniéw i czarne rozgoń myśli
I daj nam znak, a harfy nasze brzękną
I pieśnią cię uraczą taką piękną,
Jakoby z nieb anieli do cię przyśli.

STARZEC.

(*występując teraz przed wszystkich i puszczając palce po harfie—z zapałem:*)

No, zbudź-że się... no, wznieś-że swoje skronie...
Wznieś wreszcie je, o palmo palm wspaniała!
Niech słońca blask na liściach twych zapłonie...
Silna jak cedr, choć burza cię zszarpała,
Objaw się im w dziewiczéj swéj koronie,
W przepysznéj z tęcz, z promiennéj mgły osłonie,
Piękna jak cud, jak śnieg Libanu biała!
By kiedy znów... znów wicher cię ogarnie,
Rycząc jak lew, u stóp twych skonał marnie!!

SULAMITA (*do siebie*).

O Boże! wzrok ten błyskawicą lśni
I głos ten już słyszałam gdzieś;
Dźwięk jego każdy, jak nóż, pierś mi drze!

(*Powstając—głośno do starca:*)

Śpiewaku! jeszcze harfę weź,
Weź w rękę ją i zagraj mi...
No, grajże!!

MISTRZ DWORU (*który stał przypatrując się z niepokojem całéj ostatniéj scenie, przysuwa się na to do starca i mówi doń zcicha, tak jednak, że Sulamita słyszy jego słowa:*)

Nie graj, lub—śmierć czeka cię!

SULAMITA.

Boże! to on!—Jonatan!

(*Słania się i upada znowu na posłanie*).

STARZEC (*do mistrza dworu—półgłosem:*)

Bądź bez trwogi—
Toć żywot mi niemniéj niż tobie, drogi.

(*Następnie, gdy mistrz dworu się usuwa, ustawia napowrót harfę przed sobą, brzdąka chwil kilka po strunach, i wkońcu zaczyna śpiéwać:*)

(*D. c.n.*)

ALEKSANDER ZARZYCKI.

Kilka lat temu, w jesieni, o zmroku, pod werendą cukierni w Hotelu Europejskim, trując się czarną kawą, spostrzegłem siedzącego na krześle człowieka, który trzymał w ręku jeden z dzienników illustrowanych i od czasu do czasu spoglądał w błękit, kędy już wschodziły gwiazdy.

Blada twarz i piękne, poorane bruzdami czoło tego człowieka, świadczyły, że to nie *filister*; smutne zaś jego oczy przekonywały, że to dusza, w któréj wrą burze ciągłe, dusza która cierpi i tęskni.

I nie zawiodłem się.

Byłto Aleksander Zarzycki, malarz, autor *Gwiazdy Zarannéj*.

Dziś na Powązkach, na grób tego artysty padają zwiędłe liście z drzew i wicher śpiewa nad nim swoje fantastyczne piosenki.

Rzućmy więc na ten grób kwiat wspomnienia.

Zarzycki urodził się w r. 1825, w Warszawie. W pacholęcych latach począł gryzmolić węglem, piórem i ołówkiem, ułanów na koniach, kościoły i domy warszawskie, i tym podobne rzeczy, które go bawiły lub zachwycały. To zwróciło uwagę ojca. Wziąwszy wyrostką za rękę, zaprowadził go do malarza Dąbrowskiego i rzekł:

— Weź pan tego chłopaka pod swoją opiekę. Może z niego co i będzie?

Dąbrowski rozwijał, o ile mógł, wrodzone zdolnosci swojego ucznia, a ten pracował ze wszystkich sił swoich, bo w czarodziejce sztuce rozkochał się do szału....

I od świtu do nocy, pracował i marzył. Najpiérw zarabiał na chléb powszedni dla siebie, następnie musiał nań mozolnie pracować dla swej rodziny.

Historya to bardzo smutna. Zarzycki, nie znalazłszy na świecie ludzi, którzyby mogli i powinni byli dać mu materyalną pomoc do należytego rozwoju talentu, musiał kolorować fotografie milionerów, literatów, baletniczek i tym podobnych organizmów, w zakładzie pana Bayera. Taka robota może doprowadzić rzeczywistego artystę do melancholii i pchnąć go w życie, w którém się ani myśli, ani czuje... Motor takiego życia znajduje się w kieliszku wódki lub w butelce wina.

Zarzycki jednak, nie upadł i nie splamił się skargą na niewdzięczność świata,—kochał sztukę, kochał rodzinę swoją i po cierniowém życiu, skonał, patrząc z uśmiechem, w *Gwiazdę Zaranną*.

Z kilku jego obrazów, które widzieliśmy na tutejszéj Wystawie Sztuk Pięknych, *Gwiazda Zaranna*, obraz, znajdujący się obecnie w zbiorach Barona Rastawieckiego, jest jedną z pierwszorzędnych produkcyj krajowéj sztuki.

O obrazie tym S. Buszard, sumienny, intelligentny krytyk, wypowiedział kilka szczerych i sympatycznych słów w r. 1860, przez pośrednictwo Tygodnika Illustrowanego.

Gwiazda Zaranna wystawioną była, nietylko u nas w Warszawie, ale i w Krakowie, gdzie podobnąż jak tutaj zyskała sympatyą.

Powodzenie, jakiego obraz ten doznawał, przypisać należy dosyć nowemu pojęciu i wykonaniu danego sobie założenia. Wtenczas, gdy wszyscy prawie artyści, tradycyonalnie starają się przedstawić *Najświętszą Pannę* w blasku i w cieple słonecznėm, otwiérającą nam niby część atmosfery niebieskiéj, zkąd zdroje jasności na nas biją, Zarzycki inaczéj pojął i inaczéj wyobraził swoję idealną postać.

Na tle nocy ciemnéj, choć przezroczystéj, z tonów gorących zupełnie ogołoconém, odmalował *Madonnę*, która jako zwiastunka dnia, jaśnieje niebiańską słodyczą i spokojem.

Nad czołem *Madonny*, świéci gwiazda jutrzenki.

Ostatnią pracą Zarzyckiego, jest poetyczny obraz: *Królowa światłości*, znajdujący się obecnie na Wystawie Sztuk Pięknych.

Jeszcze słowo.

Czemuż wy ludzie pozwalacie konać, z chłodu, rozpaczy i głodu, tym z bliźnich swoich, którzy wam dają światło i pojęcia o pięknėm i dobrém? Czemu na tym, niby mądrym, bogatym i wesołym świecie, jak powiedział Henryk Hejne:

„każdy człowiek z talentem, musi przechodzić Chrystusowe stacye i miéć swój... *szary* koniec?

Miron.

Z POWIATOWEGO PARTYKULARZA. [1]

Gdzie idziem i czego chcemy?... Zdaje się, że każda myśląca w społeczności jednostka, a tém więcéj ludzie stawający u steru, powinni dać sobie i innym, za siebie i za nich, odpowiedź na to pytanie, gdy przedsiębiorą to, co ogół ma poruszać z zastoju. Mamy cel—więc jaki? Mamy zdążać do niego—jaką więc drogą? Czy zapas sił i karmi odpowiada i celowi i drodze?...

Do tych uwag zniewoleni jesteśmy ciągłém Przeglądu Tygodniowego wołaniem — „naprzód! do życia!...” Racya tego nawoływania jest, i każdy ją widzi — za większość przynajmniéj w tym względzie ręczyć można. Kwestya jednak zachodzi, czy między głosem Przeglądu a poczuciem ogółu, jest jedna i taż sama równia, na któréj obie strony zejść się z sobą mogą, układając do jednozgodnéj harmonii życzenia swoje?.. Na to tak odrazu odpowiedziéć trudno — przypuszczamy wszakże, że się znajdzie pewna różnica.

Jednym z dowodów jest Nr. 40-ty Przeglądu, a w nim pod rubryką *Ech* nauczka, wystosowana do Gazety Warszawskiéj. Stawać w obronie tego organu, dla niego samego, nie widzim żadnéj potrzeby — nie przynosim pochwały dla niéj ani nagany: idzie ona swoją drogą, widać, jak może. *Echa* gniewają się na wielu i nie można powiedziéć, aby czasem słuszności nie miały. Ta jednak słuszność, najczęściéj jest względną. Idzie o to, żeby szturmy Przeglądu w prosty nałóg nie weszły — w nałóg, albo chorobę chroniczną. Nam się zdaje, że pismo publiczne co do założeń i wpływów swoich, nie jest saméj tylko redakcyi własnością. Ona daje nakład, bierze dochody, obejmuje inicyatywę głosu, ale zachodzi jeszcze pewien komunistyczny stosunek pomiędzy redakyą sterującą przeglądem życia społecznego i naszéj literatury, a publiką, która i materyałów do tych przeglądów dostarcza i, mając być pouczaną, pragnie, (bo pragnąć ma prawo), zdrowych wskazówek i starannéj dla siebie karmi. Ztąd interwencya nasza.

W Nr. 40 Przegląd Tygodniowy zawadza o rzecz wielce drażliwą, a w kurs puszczoną u nas, mianowicie—o teorye Darwina. Gazeta Warszawska w Nr. 280 gromi domorosłych naszych przerabiaczy naturalistycznych dociekań. Nie idzie jéj widocznie o przygany nauce, — nie, — téj, spodziewamy się, pragnie i rozwojowi jéj dałaby zasłużone uznanie, wychodząc z téj saméj zasady, z jakiéj każdy z nas wychodzi, widząc krzewiące się w kraju nabytki wiedzy, rozumu. Ale rozgałęzienie wiedzy, rozumu, ale puszczanie w obieg teoryj, które do znaczenia pewników nie utarły się jeszcze, — rozwadnianie ich na cały czytający nasz ogół, nieoswojony ze znaczeniem badań naukowych, nieprzygotowany do tego i nieumiejący rozeznać kresu, który teoryą wszelką od uznanéj pewności rozdziela,—to wielka od potrzeby nauki, dla nieuprawnego ogółu, różnica. W tę różnicę, zdaje nam się, Gazeta Warszawska uderza, żądając od przerabiaczy płodów obcych, nam na pożywę, by się jęli więcéj *bezwzględnie pożytecznych* przekładów. W to uderza—i toż jéj wina? Nie sądzimy. Musiała ona cóś dojrzéć, cóś zauważyć, co w samém obdzielaniu się takiémi teoryami, szkodę ogółowi przynosi. Szkoda i korzyść — na tych dwóch tyle rozdzielonego znaczenia wyrazach, wypadałoby zatrzymać się choć chwilkę. Przegląd uznał to za niepotrzebne. Wolno... Alež nie każdy znowu ma patrzéć pożyczoném od p. Wiślickiego okiem. My żałujemy, że się na jedno z nim godzić nie możem. Nie możemy i — jakoś się nam wydaje, — że do zgody albo niezgody mamy zupełne prawo. Nie mówię od siebie. Jedna jedność—to kropla w morzu, to nic; szczególnie *nic* w oczach p. redaktora i pp. współpracowników Przeglądu, którzy nie mając rozumnego na życie wyrozumienia, ciskają pioruny na wszystkie redakcye, mogące także przecie miéć w piśmiennictwie wytknięty cel i mogące zdążać do niego, może nie tą co p. Wiślicki drogą, lecz.. cóż to stanowi? Jednostce zatém, niéma co wdawać się w rozprawy z Przeglądem—będzie zakrzyczaną, zdeptaną, wzorem artykułu o *Partykularzu prowincyonalnych miasteczek*, na którym Przegląd ani jednego nie dostrzega człowieka, jeno *błoto*, *błoto i błoto*. Tak wolno było zaopiniować, dzięki małomówności prowincyonalnéj, bez względu na to, że tu całe tysiące ludzi dobrych i złych, żyjących z celem i żyjących „bez domyślania się celów,” pracowicie prowadzą dni swoje i prow adzą w trudniejszych zapewne warunkach, jak recenzenci ich życia, którzy nawet pamiętać nie chcą, że jeden a dziesięć, sto lub tysiąc, to wielka różnica; że zatem bractwo kilku piszących, chociażby i rzeczywiście wysoką przejętych mądrością—co zresztą sami sobie tylko przyznają — mniéj zapewne w społecznym jest przydatne układzie, jak te dziesiątki i setki tysięcy *małomiasteczkowych* mieszkańców. Pragnąc przeto być wolnym od oplwania jako jednostka, do uwag moich na lekko-żartobliwe upomnienie Gazety Warzawskiéj w kwestyi darwinistowskiéj propagandy, biorę prawo nie wyłącznie z punktu mego widzenia, lecz biorę je od tych wielu z *prowincyonalnego partykularza* (może i to za odważnie jeszcze?), którzy nie dla zabawki muszą patrzéć, widziéć i żyć, a patrzą i myślą nietylko za siebie, lecz i za tych jeszcze, co są w kołysce albo harcują na koniu drewnianym,

[1]) Sympatyzując z *żywotnością*, ale nie sympatyzując wcale (jakeśmy to w dzisiejszéj dali już poznać odezwie), z *materialistycznym kierunkiem* propagowanym wyraźnie przez Przegląd Tygodniowy,—z drugiéj strony trzymając się zasady, iż każdy bezstronny organ prassy, powinien w swych szpaltach dawać przytułek wszelkiéj niewyrażającéj się luźnym frazesem, a argumentowanéj i z szczerém przekonaniem wygłoszonéj myśli, chociażby ta pod niektóremi względami z *wyznaniem wiary* jego stała nawet w niezgodzie,—umieszczamy ten list z prowincyi, doszły nas zpowodu przyczyn od nas niezależnych, nieco zapóźno. (*Przyp. Redak.*)

a którzy kiedyś, po latach niewielu, z różnych stron, z pod rozmaitych wpływów, zejdą się w jednę po nas społeczność. Idzie o to, żeby im ciasno nie było, — idzie o to, żeby zniesione przez nich w jedno koło z różnych stron wpływy i wyobrażenia, nie kusiły się prawd wiekuistych zamieniać lekkomyślnie i bez ścisłych zasad na to, na teorye pojedyńczych tylko poglądów, — idzie o to, żeby tych poglądów za akt wiary nie brali, a życie ich by się ułożyć mogło w tę harmonijną całość, która nie odpychając nauki i wiedzy, w jedno z niémi da się powiązać, zawsze stawiąc za cel pożytek życia, — idzie o to, aby przestać gromadzić materyały do nowéj wieży Babel, która na to chyba będzie przydatną, by gruzy jéj, jako cały spadek po nas, na głowy dzieci naszych runęły. I tak za dużo już tego; za dużo krzyku a za mało serca, za dużo myśli dla zabawki, rozumu na okaz.. blichtru, pomięszania języków, — bez związku. Niech to zejdzie nam z przed oczu, niech o to Przegląd Tygodniowy woła.. bo tu i użyteczność i zasługa i—cel. Można mieć pokup i na udaną gorliwość. Są tacy, którym krzyk wszelki przypada do ucha,—są tacy, co się lubują w przycinkach, wesołości, żarcikach, — są nabywcy drukowanego słowa *dla dobrego humoru*, z byle jaką dla niego pozłotą,—są,—i temu nie przeczym. Przegląd ich widzi—my także widzimy. Przyjmą i dadzą wszystko za dobry grosz. Lecz Przeglądowi—zdaje się—idzie o to, żeby nie było przekupu na myśli, wyobrażenia i wszelkie podstawy życia — na to, co ludzi sprzęga w społeczność. On te szacherki odpycha—odpycha przekup i wszelką tandetę. Jeżeli tak—zgoda: chcemy wierzyć, że na jednéj jesteśmy drodze, że nie sam interes piórem téj redakcyi kieruje. Toż bez obrazy niech p. Wiślicki przyjmie te kilka słów, a niech się przypatrzy wraz z nami, co Gazecie Warszawskiéj mogło dać powód do słusznego, według nas, podniesienia głosu.

Czy ona we wszystkiém jest tyle uważną?.. tego nie poruszamy. Tu jednak występuje w sam raz — szkoda tylko że nie wcześniéj, że nie wcześniéj o jakich lat parę. Ona może więcéj odgadła, jak zblizka dojrzała i oceniła ten zawrót nowy, który na gwałt, od pewnego już czasu, w cwał ciągnie, szczególnie młódź naszę, nad tę przepaść ciemną a straszną, z któréj bodaj wyjścia i ocalenia już niéma. Czy ciągnie po naukę, by obejrzeli tę jamę i na jéj dnie kałużę pełną syczących gadów?... by obejrzeli i uciekali ztąd?... Nie! nie!... Ciągnie do wyluźnienia, na swobodę bez obowiązków i nazwy—do dowolności bezwarunkowéj, niekrępowanéj niczém i nieznającéj kresu. Toć nietylko u nas tak jest. Zagranica na tę samę chorobę boleje—pod jéj naciskiem rozkładają się zbiorowości, ginie społeczność, a w jéj miejscu występują same luźne jednostki, obce sobie, nieprzyjazne, czesto wprost wrogie. Nazywa się to zatarciem dróg życia i jego celów—cele te tam zeszły wszystkim z przed oczu, niéma ich i być nie może. Nad człowiekiem *szczytność* czuwać przestała; zatarł ją w sobie, a z nią zagłuszył sumienie — zdeptał cały stosunek pomiędzy wyżyną a ziemią.. Toć mówi, że jest przypadkową, więc dowolną, bezodpowiedzialną istotą! Zaczął na liberaliźmie, nie dał mu podstaw, nie umocnił przekonaniem, i na pusty, dziecinny *libertynizm* przeskoczył; toż pociągnął społeczność do rozuzdania się śród własnowolności myśli i życia. Filozofów całe gromady stanęły, a niéma między nimi powięzi, bo wszedł tu z równém prawem ten, co się ubogacił nauką i zastanowieniem; wszedł także i ten, co o potrzebie nauki nie słyszał, a co gorzéj, musnął ją po wierzchu i do zastanowienia się nietylko nie znalazł czasu, ale nie miał ochoty..... (jakiś P. np. A. Świętochowski!) Zechciéjmy choć raz na seryo przypatrzéć się Zachodowi, jak się to tam wszystko kotłuje, warzy, a nic stałego niéma—jak się tam dobić do niczego nie można. Ludzie myślący, wszyscy sterownicy potracili już głowy. Uczepiliśmy się jednego: „winien Napoleon III, winno cesarstwo!!.. i na tém koniec. Nie — dla ludzi myślących to odpowiedzi nie daje — nie kończy jéj przynajmniéj. Wina tu całéj społeczności, wina materialistycznéj nauki, którą Francya przesiąkła od monarchisty do republikanina, od dostojnika na wysokim urzędzie, aż do bluzaka,—zabierając w to koło i kobiéty i dzieci. I chcemy, żeby inaczéj było! Jednostka tam pragnie być sobą i tylko sobą — bez więzów, bez układów, bez form i obowiązkowego stosunku. Ta sama choroba i gdzieindziéj przeszła — rozwielmożniła się szeroko. Toż gdy się człowiek przesycił szałem życia i doktrynami, strzela w łeb sobie i kartkę pisaną zostawia, że mu życie obrzydło. Drugi zostawia dyspozycyą przedśmiertną, by zwłoki jego psom na pożywienie rzucono, albo użyto na umierzwienie ziemi pod pług. Agronom czy myśliwy... więc w chwili ostatniéj zajmuje go gleba i psiarnia!!.. Inny znowu całe miljony swoje w spadku przekazuje... na konie!!..

Zkądże te zbrodnie? zkąd przesyt, poniewierka życia i wszelki upadek moralny?... Z braku przyjęcia do serca praw, któremi drogę człowieka warunkuje koło społeczne,—z braku zżycia się z ludźmi, ze zbiorowością, z jéj bytem i wiarą, a brak ten wszelki pochodzi z zatopienia się w wątpliwościach, które na nas rzucono, lecz które nic nam nie dając, burzą wszystko, cośmy uznali dotychczas.

Oto przyczyna. Człowiek idący samopas, pustkę ma przed sobą, — lecz pustka ta jeszcze w mogilnik i obóz łotrzyków dla jego bliźnich zamienioną być może, gdy myślami jego owładnie zamęt teoryj, równających go ze zwierzęciem. Czyż zaś nie to z darwinizmu wyciągną ludzie nieobyci z nauką, gdy się przed nimi wysłaniać będą mety coraz więcéj niezbadane, gdy codziennie tą jedną będą karmieni strawą?... I o niedorostkach pamiętać tu jeszcze wypada—o nich najwięcéj. Ci nie byli w szkole ciekawi drukowanego słowa; lecz są go tém bardziéj ciekawi poza szkołą, chciwi wolnego myślenia i pełni wrażeń. Męty teoryj usilnie im podsuwanych nie wykształcą w żadnym z nich człowieka dla społeczności. Nie są to uwagi nowe, nie od nas się poczynają — stare jak świat i wszyscy słuszność ich przyznajemy.

Więc o cóż tu nam idzie? czego chce Przegląd Tygodniowy w swojém upomnieniu szczypiącém?.. Wystosował to upomnienie do Gazety Warszawskiéj, a bije w społeczność. Czy tego pragnie, co wypływa z popularyzowania teoryi Darwina, czyli czego innego szuka?... Jedno lub drugie żądanie górę wziąść musi... to i to razem—niepodobna!

Nam, ojcom i matkom, tyle przecie domagać się wolno, żeby w darwinowskie teorye nie zaplątywać nietrzeźwych ludzi, i nie wojować tak śmiało obosiecznym nożem, gdzie się zaś to stało, nie przeszkadzać pracy ku wytrzeźwieniu — nie pluć jéj w oczy, nie ośmiewać i nie stroić na ton mądrości słowa w kwestyi, któréj założeniem bez przygotowawczéj nauki, jest—rozład. Gotują się nowe księgi w przekładach i może nowy popis tą mądrością w gazetach. Da ona tym szermierzom i apostołom swoim w zysku srebrniki, lecz da je za jad, w społeczność mocno poturbowaną rzucony. Czy czasami nie zadużo popisu i ćwiczeń w téj mierze?..... Gawędę na pytel puszczono w obsłonie nauki. Chcecie ją dawać — dobrze, dawajcie; lecz zarazem chciejcież pamiętać i o tém, że publika cała nie jest areopagiem uczonych — na badania nieprzetrawione dać odpowiedzi nie może. W tém kwestya cała,—tu sprzeczka nasza, jéj cierpkość i jéj przyczyny. Gazeta Warszawska właśnie powstała przeciw popularyzowaniu rzeczy ciemnych, niedokończonych jeszcze, i my z nią dlatego w równi tym razem stajem. Mamy do tego prawo za siebie i dzieci, w imię praw i warunków, na których gruntuje się układ i rozwój społeczny. Jesteśmy zniewoleni do tego przez rzucenie teoryj niedocieczonych, z pola badań w kole właściwém, na drogę praktyki życia, gdzie się cały nasz mozół rozwija.

I nie samego Przeglądu Tygodniowego wina, że walczy o to, rezultatów czego nie miał może sposobności obejrzéć.

Od kilku lat czasopisma nasze, z Gazetą Polską na czele, postawiły w swych szpaltach teorye Darwina na równi z wiadomościami z kraju i z zagranicy, jako przedmiot szukający popularności, jako rzecz dostępną dla wszystkich. I któż to są ci wszyscy, ci czytelnicy gazet, Przeglądów?... Ich redakcye nie dobierają i nie sortują wedle stopnia wiedzy, a biorą razem cały ten ogół, jak jest, jak się zgłosił z prenumeratą, począwszy od mało nauczonego ojca, który praktyki staréj wiary i jéj obrzędów *dla zwyczaju* zaniechał, nie wytworzywszy sobie wcale nic nowego natomiast,— od matki, która sama jedna pono za chwilę pomyślności umié jeszcze dziękować Bogu, w strapieniu woła do Niego o pomoc i trzyma mdlejącą ręką zawiązki społeczeńskie w rodzinie, miłość za jedynę teoryą obrawszy sobie,—od nich począwszy, aż do wyrostka umęczonego na szkolnéj ławie, szukającego choroby i wszelkich powodów, by co rychléj z ławy téj zejść; aż do panienki, któréj całą umiejętnością strojenie głowy po wierzchu, czernienie brwi i mazanie policzków na wabia, jak to sam Przegląd w każdym prawie numerze powtarza. Tak jest w murowanym dworze i tak w dworku drewnianym, w mieście i na wsi — z bardzo małym wyjątkiem. Daléj... prawda: jest jeszcze inny, bardzo i bardzo jeszcze odmienny świat — zepchnięty na niziny społeczne. On także czyta i w naszym druku codziennym nie jedno mu nie do smaku. Milczy wszakże, bo milczéć przywykł, bo myśli i głos jego nie mają przyjęcia. Sama pozycya świat ten na głuche zamki zamknęła, obok bowiem stoi wyżyna zaciemniająca go. Tam wziętość, połysk, a więc i uznanie — tu.. kto wie! może i tu już umierająca tylko nadzieja, że człowiek do czegoś lepszego dążyć ma prawo. Więc jaką myślą ludzie z tego koła, mają rozumieć uczone założenia gazet, Przeglądów?... Jakie mogą być medytacye ich, choćbyście im tysiące takich lub innych nowostek rzucili?.. Tym rzucać wtedy uczone zagadnienia z *darwinizmu*?... to już chyba szyderstwo, cynizm!.. Naj-

mniéj—tak jest—ludzie nauki, najmniéj specyaliści korzystają z gazet. Szpalty ich i redaktorskie ćwiczenia, dla uczonych nie wystarczają!

Nic przeciw teoryi Darwina, jako nauce, nie mamy, —więcéj: uznajemy się za niedojrzałych do pogawędek tego zakresu. To wyznanie da być może pochop Przeglądowi Tygodniowemu do ostrzenia z kolei i na nas dowcipu. Owszem — prosimy, kiedy taka jego redakcyi wola. Za mało kompetentnych mając się sami, dawno już zapytujemy siebie: jaki jest cel karmienia każdego, kto czytać umié, temi teoryami, w pismach tyle rozpowszechnionych, jak Gazeta Polska?... Drukuje się dlatego, żeby czytano; czyta się dlatego, żeby pojmować; a gdy pojęcie spotka się z czém nowém, musi w pomoc zastanowienie przywołać. Rezultat... za ten ręczyć nie można. W każdym razie będzie on dobrym wtedy jedynie, gdy rozmysł na tór właściwy wpadnie. Ale gdzież u nas te tory, kto je przeprowadza?... Sami i sami — z niedoświadczeniem, z nieuctwem!... Mówię o wielkiéj większości. Na taki grunt rzucono teoryą zawiłą, co najmniéj *zdradną*. Dopytywaliśmy się powodów — odpowiedź trudno *tak* lub *inaczéj* ułożyć. Jedna chyba ciekawość redakcyą Gazety Polskiéj powodowała, — ciekawość: o ile publika nasza w rozwoju umysłowym dorosła, żeby się rozglądać w teoryach, które do pewników jeszcze nie są doprowadzone, które zatém mogą mieć swoję drogę, ale mają też wyraźniejsze bezdroża. Próba to zaryzykowna — ciekawość kosztuje za wiele!... Publika— i jeszcze nasza — nie mogła dać ani rozjaśnień, ani nowych wskazówek w wątpliwościach, które do sporu uczonych specyalistów otworzyły tak obszerne pole i tylą zagadkami jeszcze usłane. Czyżby redakcya Gazety Polskiéj, czytającą zbiorowość naszę miała uznawać za najuczeńszą, najdojrzalszą, najwytrawniejszą w świecie — siebie czy ją?.. kiedy zagadnienia Darwina aż przed trybunał prenumeratorów swoich wyniosła? Gdzieindziéj tego niéma, gdzieindziéj dla pism kursujących w pewnéj sferze dobierają się i rzeczy właściwe, nieobciążające i strawne dla myśli—nie zagadnienia, ale odpowiedzi na nie. Czemuż i *Zorzy* do tego koncertu nie zaproszono?... Nauka byłaby rozciąglejszą, więcéj rozległą, rozgłośną — korzyści darwinowskiego apostolstwa, wcześniéj wypadłoby zbierać... i wcześniéj i zapewne obficiéj! A! jest to pomysł, któremu trudno trafić na imię!... Starsi i mali myślący i prostaczkowie, a niedorostki pono najwięcéj, teoryą tą głowy zapruszyli sobie. Czyż to redakcya miała na celu?... I takie cele mieć wolno, bo — pytamy się — co i komu dzisiaj może być zakazane, kiedy stróżować jest przy czém, lecz niéma komu. Niedorostek przeczytał mały ustępek w odcinku gazety, zatarł czuprynę — „to! już wiem...” i książkę szkolną w kąt rzucił. Wié — bo natrafił na wiersz gdzie powiedziano: *życie jest walką o byt*, to samo, co przy ustępie o wyżeraniu się zwierzęcych rass — więc od życia nie wymaga się wiele — więc nie potrzebna i książka szkolna i precz te więzy, które krępują w społeczności człowieka, od szkolnéj ławy aż do grobowéj deski... Wié... zmądrzał, urosł w pewnikach życia— dojrzał na skończonego człowieka. Gdyby teorya Darwina, z całym zapasem sprzeczek, które i w naszém piśmiennictwie wywołane zostały, pozostała przekładem w książce, albo książkową wyłącznie rozprawą, znalazłaby się w kole właściwém. Tuby się kompetentne pojęcia z sobą ścierały, ztąd i pożytek dla nauki wyjść mógłby. Skorzystałyby na tém, jak utrzymuje Przegląd Tygodniowy, zoologia, botanika, chemia, fizyologia — lecz co innego książka, a co innego gazeta i każde inne pismo czasowe, które wciska się wszędzie, czyta je wielu, zatém i do dyskussyj dojrzałych i niedojrzałych otwarta droga. Nazywa się to obfitą wszechstronnością pisma. Ależ taka obfitość niemniéj jest grzeszną, a grzeszy tém, że umysły młode na rozstaje prowadzi, zaprzepaszczając cały mozoł rodziców, goniących ostatkiem sił i zasobu, by dziatwę podrastającą w koło społeczne wprowadzić, nie z zapasem teoryj sprzecznych, ścierających się dopiéro, lecz z gruntem stałych i niewzruszonych zasad. Wojtek pracował przez całe życie i nie dojadł, a Kuba usłużny, bo mu się uczonéj gawędy zachciało, całą tę pracę pchnął w bezład, dlatego tylko, że coś wié, coś słyszał, więc się tém i pochwalić przed ludźmi trzeba. Kubie to wolno— lecz Kuba mało ostrożny, Kuba przez nieostrożność—szkodliwy. Za wiele jak na nasz czas téj burzącéj wiedzy i chwalby. Postarajmy się o coś więcéj pożytecznego, a szpalty pisma pustkować nie będą i czytelników za dobry grosz znajdzie się dwa razy tyle. Dyskussyi chciano?... Jest ona, obiega, nurtuje wszędzie, gdzie interes nowości na grunt niezadarniony rzucono — rzucono, jak mróz przedwczesny, pod którym wszystko więdnieje, co nosiło w sobie dopiéro zarody życia. Szukano dla nowych teoryj upustu — i oto wylano je, a zaraz mamy i skutek. Kto czytał lub słuchał czytania, rozprawiał lub był obecny rozprawom, na wsi i w mieście, w dworku i na folwarku, pan i ekonom, szwaczka i niedorostek ze szkoły, wszyscy zawichrzyli w sobie zdrowe o życiu pojęcie i zawichrzyli tém samém—przyszłość. Darmo im mówić: „to teorya jeszcze, to przypuszczenia tylko, — pewnego jeszcze nic niéma,” — darmo! Rozprawy idą, rosną, wszędzie ich pełno, a z rozpraw prawo sądu wszystkich o wszystkiém, coraz większe i rozciąglejsze — sądu i wyrokowania w instancyi już ostatecznéj o człowieku i jego początku, o naturze i całym świecie... bez Boga! — „To już dowiedzione (!!!), wydrukowane — przeczytaj pan w Gazecie Polskiéj.” Taka tych uczonych żaków odpowiedź. I gdybyż tylko odpowiedź słowa. Sięga to daléj, nurtuje głębiéj, bo przechodzi w faktyczny zakres stosunków. Odpowiedź czynów — straszniejsza.

Niedorostka w szkole uczono z książki — on wierzy, co w niéj wydrukowano, więc i tu poszedł za drukiem, który mu być filozofem pozwala. Człowiekowi nie taki jak dotąd początek dają, wyprowadzają ród jego z przypadku, z przerodzenia się małpiego gniazda—toż wszystko obowiązywać przestaje. „*Walka o byt*,” a więc o prawo życia, jak chcę i jak mi dogodniéj. Dość te dwa wyrazy uchwycić, przeczytać, podsłuchać — już cała nauka skończona. Ztad nowy tór myśli i życia, zamiarów i stosunków człowieka z człowiekiem. Obcy czy swój, ojciec czy brat, wróg czy przyjaciel — wszystko jedno. Ja pragnę żyć jak chcę, — wy mnie nie zawadzajcie, ani projektom, ani żądzom moim, bo was zbiję z drogi, podejdę, zdepcę — bo takie moje prawo — bo życie jest *walką o byt*. Walka — więc w niéj wolne podejścia i wszystko, co człowiek wywieść może kosztem człowieka — mnie i wam wolno — kto silniejszy, kto obrotniejszy, ten lepszy. A gdzież będzie i czém będzie społeczność?... Gdzie to *życie*, do którego Przegląd Tygodniowy nas nawołuje, które, jako *społeczne*, pod rozbiór swój wedle programu i tytułu swego, stawia?... Wprowadza je w program, więc prawa jego uznaje—prawa dobréj harmonii człowieka z człowiekiem i moralności i rozumnego rozwoju — zatém nie walki o rozstrój, nie nastawania i ciągłéj tylko człowieka przed człowiekiem obrony. Jedno albo drugie jest fałszem — jedno obok drugiego nie może być podtrzymywane, bo niéma dwóch prawd przeczących sobie. Na świecie szumy i pufy hałaśnego słowa tak często miażdżą i w nic zbijają uczciwe założenia wczorajsze, że trudno rozeznać, tamto czy to bliżéj się serca stawia, bliżéj rozumu, sumienia — za jutro jeszcze trudniéj poręczyć—szatan czy anioł urodzi się nam, jako nowe bożyszcze. Nie przypuszczamy, żeby to było bardzo logiczném aż takie skoki wyprawiać w bok od programów, jeżeli — oczywiście — program miał swoję zasadę, nie zaś wzorem przeradzających się w Darwinie rass, wyszedł na świat tylko z przypadku i dla przymanki. Byłoby to chyba podkopem dla tego, co się raz w dobréj wierze od Przeglądu przyjęło.

Na żądanie jesteśmy gotowi postawić sto przykładów na to, jaki jest skutek podobnéj działalności publicznéj, — żywych i jawnych, przekonywających, nie sięgając daléj nad zaokolonie jednego powiatu. Odpowiedzą nam może, że i dawniéj były wszędzie, a więc i w społeczności naszéj, te ujemne strony człowieka, a jednak społeczność żyła, związek jéj istniał i to go nie rozprzęgało. Tak — były, lecz je wyradzała tylko gruba nieświadomość tego, co człowiek ma przed sobą, wyradzała gnuśność, lenistwo i zacofanie, — jedynie w téj sferze i w tych jednostkach, które nie podejmowały pracy nad sobą, by zrozumieć i uprzytomnić swój społeczeński względem innych ludzi stosunek. Ogół stał z świętościami i był związany obliczaniem myśli i czynów, zamiarów i nadziei na miarę tego, co uszlachetnia i zacność daje, — usterki zaś wszelkie, nawet drobne, na ogólném tle uwidoczniały się rażąco. Niedawno tak było. Dziś te usterki w obliczenie nie idą — są one nieledwie cnotą. Tolerancya wielkiéj większości objęła pod osłoną swoją to, co ogół rozprzęga — objęła zdrożności i grube winy, a te w swoim porządku dziennym dostępują prawie uznania. Stanęliśmy na dwa wyraźnie rozbici obozy, z których jeden — pełnowładny kierownik dnia — hołd pstrym myślom i niezbyt powabnie cieniowanemu życiu oddaje, — drugi... resztki, rozbitki, nie chcąc w bezmyśle utonąć, oburącz trzymają się staréj liny od promu, na którym społeczność nasza płynie do nieznanego brzegu, lecz już sami nie wiedzą, czy bezpieczniéj czepiać się téj liny, nastrzępionéj obrywkami starych pakłocin, czyli zawierzyć wprawie naszych wioślarzy... gdy tymczasem w koło śmiech, najgrawanie, szyderstwo i wytykanie palcem. Tak stojącym, tak skojarzonym — tym i tym — wioślarze nasi zagadnienie Darwina przed nos rzucili. Szyderstwoż to, czy tylko pustacka zabawka?..

J. Korabicz.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom I.

(Ciąg dalszy).

Spoglądała nieufnie i pogardliwie, na co jednak stryj nie zwracał uwagi.

— Biédne dziecię!—biédne dziecię!—mówił, próbując uchwycić jéj rękę, ale wyrwała mu ją gwałtownie.

— Nie wierzysz mi? — zapytał.

— Nie.—

— A jeżeli złożę dowód, że ten człowiek nie jest godzien twego przywiązania, że zasługuje tylko na pogardę?

Sybilla zbladła i drżeć zaczęła.

— Nie—rzekła nakoniec.—To nieprawda.

— Czy mam dać dowód, Sybillo?

Spojrzała na niego przerażona, jakby litości błagając. Czy ma dowód? czy rzeczywiście obali bóstwo jéj dziewiczych lat i pozbawi ją wiary w panowanie szczeréj miłości?

— Nie chcę dowodu!—zawołała gwałtownie.—Wierzę mu!

— I chcesz być oszukiwaną, Sybillo!

— Ale nie mogę być oszukiwaną! Rozeszliśmy się przed godziną, pełni wiary i miłości. Nie mogę być oszukiwaną. On jest dobry, honorowy i kocha mnie.

— Kocha twoje pieniądze.

Okrutne wyrazy! Kocha jéj pieniądze! Była młodą, ładną, dobrze wychowaną, a wartość jéj, stanowiły pieniądze! Spójrzała na stryja błagająco, tak iż wzdrygnął się.

— Sybillo,—rzekł,—nie mogę cię oszczędzać. Zbyt cię kocham, iżbym mógł pozostawić go w posiadaniu twego serca. Przybyłem po to, żeby cię ocalić. Ojciec twój jest zaślepiony, ciotka pragnie cię widzieć hrabiną, muszę więc odwołać się do twego zdrowego rozsądku, do twojéj dumy! Chcesz mnie posłuchać?

— Nie uwierzę stryjowi,—stanowczo odpowiedziała Sybilla,—ale mów.

— O dzielna, szlachetna istoto! — mówił z uczuciem.—I on mógł cię nie pokochać!

Sybilla podniosła się i spójrzała z oburzeniem.

— Nie potrzebuję słuchać moich pochwał,—i nie chcę słyszeć ani słowa złego o nim. Jeżeli jest dowód, daj mi go stryju, ale nie oskarżaj bezdowodnie.

W milczeniu otworzył pugilares i wręczył jéj starannie złożony kawałek papiéru. Było to pismo hrabiego, poznała, list był bez koperty. Krótki, zawierał tylko te słowa:

„Mówię ci, że cię kocham, i że wolałbym z tobą nędzę znosić, niż z nią bogactwo dzielić. Wątpisz? Więc doświadcz mnie!"

Nie było podpisu, ale Sybilla znała dobrze rękę; mogłaby przysiądz, że tym samym charakterem pisane były bileciki miłosne, które otrzymywała co rano i czułe wiersze, które zachowywała wraz ze szczególnemi swemi skarbami. Ale jeszcze nie chciała się uznać za pokonaną.

— Nie ma imienia żadnego—rzekła. Nie wiem do kogo adresowano, a choćby i było, nie potępię go, na mocy tego dowodu.

Stryj Edward wziął list od niéj i obejrzał go uważnie. W istocie nie było ani imienia, ani podpisu, ani daty. Ścisnął brwi, podczas gdy Sybilla tryumfująco nań spoglądała. Nagle podniósł papiér i trzymając go pod światło lampy, uważnie mu się przypatrywał.

— Patrz na znaki wodne,—powiedział.

Machinalnie wzięła Sybilla list do ręki, spojrzała nań pod światło i wyczytała datę bieżącego roku. Nadto, poznała, iż to był papiér angielski, jakiego jéj ojciec używał. List więc był pisany później niż w styczniu bieżącego roku i tu w tym domu; współcześnie z listami do niéj pisanemi, współcześnie z czułemi wierszami.

Siły ją opadły, uczuła zawrot głowy, zrobiła jednak ostatnie jeszcze usiłowanie, aby uratować ginącą miłość.

— To podrobione!—zawołała,—podrobione!

— Spytaj go, Sybillo,—rzekł stryj cichym głosem,—spytaj go jutro!

Sybilla padła z jękiem na krzesło. Tak więc, był fałszywy, on, szlachcic starożytnego rodu i człowiek honoru bez plamy, bohatér jéj snów młodocianych! On był fałszywy, pieniądze wszystkiém były dla jego brudnéj duszy. A wyglądał tak rycersko, tak szczerze!

— Och, Sybillo, nie znasz ubóstwa i jego srogich pokus. Nie wiesz, jak ludzie boją się tego okrutnego tyrana. Przed ośmnastu wiekami, nazwano je błogosławieństwem, a jakżeśmy to błogosławieństwo uznali?

W chrześcijańskiéj społeczności ludzie ubóstwiają złoto i z pogańskim zapałem wydzierają sobie dobra tego świata. O pieniądze! wy jesteście pieknością, cnotą, sławą, zdrowiem, i wszelkiém dobrem!

Piérwsza to była tego rodzaju, gorżka lekcya dla Sybilli. Nie jéj, tylko jéj posagu pragnął jéj kochanek; czyż mogła mu to darować? Myślała, że choć bogata, jest kochaną, aż tu pokazała się prawda, szkaradna prawda!

— O, Boże mój! Boże!—jęczała, —jak on mógł tak postąpić! Nie płakała, ale łkania wstrząsały nią całą.

— Tak, jak mógł to zrobić?—powtarzał stryj.

Sybilla nie zwracała na niego uwagi; chociaż pociągnął ją ku sobie, ściskał rękę i spoglądał z współczuciem. Jęcząc ciągle wyrazy: „jak on mógł to zrobić," padła nareszcie na jego piersi, a łzy, jak wezbrany potok, popłynęły jéj z oczu.

— Jakże kochałaś tego zdrajcę! — rzekł stryj z pewną niechęcią.

— Wierzyłam w niego! zawołała boleśnie, — a on był fałszywy—fałszywy! Stryju, jakżeś przyszedł do tego listu? — do kogo pisany?

Utkwiła w niego płomieniejące oczy.

— Jak go dostałem, to rzecz mniejszéj wagi. Jeżeli chcesz, to ci powiem do kogo pisany—to jest jeżeli nie wiesz tego.

Wargi Sybilli zadrżały.

— Nie mów mi,—rzekła z cicha—nie chcę nic wiedzieć.

— I nikomu nie wspominaj o tém, Sybillo, z wyjątkiem pana Renneville.

— Nikomu,—odpowiedziała apatycznie,—jutro mu pokażę ten list i będzie po wszystkiém!

I załamała ręce. On jéj nigdy nie kochał, on może nudził się jéj czułościami, albo wyśmiewał ją tajemnie.

— Zagwałtownie postąpiłem,—zawołał stryj Edward,—trzeba mi było złagodzić prawdę.

— Nie, — przerwała, — znieść mogę prawdę, — tylko fałsz zabija.

— I niepewność, — dodał stryj cicho. — Czujesz się nieszczęśliwą, Sybillo, i jesteś nią rzeczywiście, o moja serdeczna!

Obróciła się, zarzuciła ręce na jego szyję i łkała tak, jakby jéj serce pękało. Nareszcie, uspokoiła się nieco.

— Ach jak dobry jesteś, — rzekła, patrząc na jego twarz rozrzewnioną,—czemuż on nie był szczerym, tak jak ty, stryju?

— Otrzyj łzy, Sybillo,—szepnął,—ktoś nadchodzi.

Sybilla powstała i opuściła salon jednemi drzwiami, właśnie gdy jéj ciotka wchodziła drugiemi. Nie spotkawszy nikogo po drodze, wbiegła do swego dziewiczego przybytku, zamknęła się i rzuciła w fotel przy łóżku, kryjąc głowę w poduszki. Gdy dano znać do obiadu, odesłała Denizę z oświadczeniem, iż cierpiąc mocny ból głowy, nie przyjdzie wcale.

Słysząc to, miss Glyn rzuciła oburzonym wzrokiem na stryja Sybilli, podejrzywając, iż on był przyczyną jéj bólu głowy. Miss Cains widziała to spojrzenie. Kennedy tylko, nie zwracając na nic uwagi, zawołał:

— Skądże dostała bólu głowy?—była wesołą i lekką jak skowronek, jeszcze przed godziną. Edwardzie, z ciebie kawałek doktora, idź i przepisz jéj co.

— Sybilla nie słuchałaby mego przepisu,—odpowiedział chłodno p. Edward.

— Ależ powinnaby zjeść co,—rzekł Kennedy.

— Możeby pójść na górę i namówić ją, żeby zeszła?—zapytała Blanka, podnosząc się na wpół.

— Zrób to, panno Cains. Powiedz Sybilli, że ją tu proszę.

Miss Cains wstała i wyszła, wkrótce jednak powróciła, bo Sybilla nie chciała jéj wpuścić do siebie. Kennedy spójrzał zasmucony.

— Pójdę ja,—rzekła miss Glyn z nieukontentowaniem.

I jéj poselstwo jednak, równie było bezskutecznem. Sybilla taki ból głowy cierpiała, że nie mogła znosić światła i potrzebowała zostać w zupełnéj spokojności.

— Biedna Sybilla!—westchnął Kennedy, siadając do stołu.

ROZDZIAŁ XXV.

Na drugi dzień rano, wszystkich zadziwiła bladość twarzy i wpadłe oczy Sybilli. Jakiż to okrutny musiał być ból głowy, co tak zmienił jéj lica?

— W istocie był bardzo silny,—odpowiedziała Sybilla,—ale teraz, czuję się lepiéj.

Na tém skończyła objaśnienia. Po śniadaniu, rzekł Kennedy:

— Którym pociągiem odjeżdżasz Edwardzie?

— Pierwszym. I zaraz was pożegnam.

Mówiąc to, powstał, skłoniwszy się zimno i etykietalnie pannie Glyn, a grzecznie uścisnąwszy rękę panny Cains, wyciągnął dłoń do Sybilli. Ale ręce jéj leżały nieporuszenie na kolanach; oczy jéj unikały jego spojrzenia.

— Cóż to, Sybillo, pogniewałaś się z Edwardem?—zapytał zdziwiony ojciec.

Miss Glyn, nic nie mówiąc, spojrzała bacznie na siostrzennicę, jakby kontenta z jéj oziębłości. Miss Cains zaczęła wyglądać oknem.

— Żegnam cię, Sybillo, — rzekł stryj, pochylając się nad fotelem.

Sybilla spojrzała naokoło, nagle zarzuciła ręce na szyję stryja i wybuchając płaczem, oparła głowę na jego ramieniu. Zniweczył świt miłości w jéj sercu, niemiłosierny był, och niemiłosierny! ale szczery; a gdy myślałała o fałszywości kochanka, serce jéj lgnęło do wiernego przyjaciela, który gotów był nawet na jéj nienawiść się narazić, byle ją uratować.

Miss Glyn patrzała z oburzeniem; pan Kennedy stanął w podziwienia, nawet miss Cains spojrzała zdumiona. Nie zważając na nikogo, przyjaciel Sybilli siadł obok niéj, otarł jéj łzy chustką i szepnął:

— Bądź dzielną, moja droga Sybillo—bądź dzielną!

— Wstał i wyszedł z pokoju, spiesząc na kolej; ale zaledwie drzwi zamknął, otworzyły się znowu i pokazała się w nich twarz Sybilli, jeszcze ze łzami w oczach.

— Stryju, napisz do mnie,—błagała z naleganiem.

— Dobrze, Sybillo,—bądź zdrowa,—Bóg z tobą.

— Sybillo,—zapytała poważnie miss Glyn, gdy jéj siostrzenica wróciła do salonu,—co tobie było?

— Miałam atak nerwowy,—odpowiedziała Sybilla spokojnie.

— I zkądże ten atak?

Ale Sybilla nie dała odpowiedzi. Miss Glyn, w milczeniu obserwowała ją przez cały poranek i coraz mocniéj była zdumiona jéj zachowaniem się. Sybilla siedziała pochylona nad krosienkami, na których haftowała jakąś drobnostkę dla przyszłego małżonka. Wzór był wytworny, bogaty, robota owa do tego czasu była prawdziwą rozkoszą Sybilli, teraz siedziała nad nią z twarzą surową, bladą, z regularnością maszyny, migając białą drobną rączką nad krosienkami. Naraz zatrzymała się, rozszerzyły się czarne jéj źrenice, gdy punkt o jedenastéj wszedł do salonu hrabia Renneville. To była jego zwykła godzina i jak zwykle był uśmiechnięty, grzeczny, zadowolony. Zbliżył się do Sybilli, ujął jéj bezwładną rękę i pocałował; a spostrzegłszy twarz zmienioną, z czułą troskliwością zapytał o przyczynę.

— Mam ból głowy—odpowiedziała.

— To mnie bardzo martwi. Może ta robota męczy panią? Odłóż ją pani, odłóż.

I czynem popierając radę, lekko odsunął z przed niéj krosienka. Sybilla przechyliła się w tył fotelu, patrzyła, słuchała, zdawało jéj się, że jest we śnie. Głos jego był ten sam co zawsze. Czyż tak łatwo oszukiwać? Czy fałsz może wyglądać tak samo jak prawda?

— Pójdę za jego przykładem—pomyślała Sybilla, i starała się nie okazywać mu żadnéj w sobie zmiany. Ból głowy dostatecznie tłómaczył jéj powagę.

Nie było nigdy we zwyczaju zostawiać kochanków samych. Miss Glyn była zdania, że będą mieli dość czasu po ślubie, a pan Kennedy sądził, iż należało stosować się do miejscowych obyczajów. Mieli więc tylko takie *tête-à-tête*, jakie dopuszczał pobyt w salonie, dozwalano tylko Sybilli odprowadzać przez ogród narzeczonego, kiedy odchodził. Gdy więc hrabia, spędziwszy na rozmowie godzinę, powstał, podniosła się i Sybilla, nie mówiąc słowa i poszła do swego pokoju, po kapelusz i okrycie. Hrabia de Rennéville czekał na jéj powrót, rozmawiając wesoło z panią Glyn o zwykłym przedmiocie jéj myśli, to jest o kapitale.

— Wszak przyjdziesz pan wieczorem? zapytała uprzejmie.

Hrabia de Renneville ukłonił się i odpowiedział, że będzie miał tę przyjemność. W téj chwili weszła do pokoju Sybilla i uwiadomiła hrabiego, że już gotowa. Żwawo przysunął się do niéj i podał jéj rękę do wyjścia.

Hrabia był dnia tego bardzo wesoły, pełen myśli o przyszłém szczęściu swojém: nie miotały nim dziś ani wątpliwości, ani przeczucia dnia wczorajszego.

— Droga pani,—rzekł czule,—jeszcze tydzień, a stanę u kresu mych życzeń.

Sybilla, zamiast odpowiedzi, przeniosła rozmowę na inny przedmiot.

— Czy wiesz pan,—rzekła,—że Blanka ma przy mnie pozostać? Hrabia skinął głową.

— Zadowolenie pani jest dla mnie prawem,—rzekł,—ale muszę być otwartym—nie mam sympatyi do téj pani.

— Dlaczego?

— Trudno mi wskazać powód; niewytłómaczona antypatya. Uznaję jéj przymioty, ale nie mogę jéj lubić.

— Cóż to, śnieg padał dziś w nocy,—rzekła Sybilla, zatrzymując się nagle. Hrabia de Renneville spojrzał na nią zdziwiony, i miał powód. Śnieg grubo pokrył ziemię, drzewa uginały się pod nim, cała okolica była jak w białym całunie, a Sybilla dopiéro teraz śnieg spostrzegła.

— Czyż pani tego dotąd nie widziałaś?—spytał z niedowierzaniem.

— Nie,—odrzekła.

I istotnie tak było. Jedna myśl tak pochłonęła jéj uwagę, że świat zewnętrzny, jakby zniknął jéj z przed oczu.

Hrabia de Renneville spoglądał na nią i zaczął spostrzegać coś niezwykłego. Stali przed altanką, na końcu ogrodu. Sybilla skinęła, a hrabia otworzył drzwi, wpuścił ją i wszedł za nią. Siadła, on stanął przed nią. Dreszcz lekki nią wstrząsnął, obwinęła się mocniéj okryciem. W altanie było wilgotno, ciemno, a chłód był przejmujący.

— Pani się zaziębisz,—rzekł hrabia blady, jak ściana.

Sybilla podniosła oczy na niego.

— Krótko będę mówić,—rzekła.

Skłonił się,—Sybilla tak zaczęła:

— Czytałam dziś rano historyą Kamioli Turinga. Pan ją zna?

— Nie,—odpowiedział.

— Była bogata, a Orlando z Arragonu był ubogi i w niewoli. Obiecała wykupić go, jeżeli przyrzeknie, że ją poślubi. Dotrzymała słowa, ale on złamał swoje. Wiele tam różnych było historyj, dość, że w końcu rozstali się, a Kamiola, przejęta pogardą, dała mu te pieniądze, które tak wysoko cenił. Gdybym mogła, tak samobym zrobiła,—rzekła Sybilla, wstając i spoglądając na kochanka, oczami płomieniejącémi gniewem.—Dałabym chętnie panu te pieniądze, które jedynie ceniłeś we mnie. Gdybym mogła,—mówiła daléj, otwierając dłonie, jakby złoto z nich sypała,—ale nie rozporządzam sobą, muszę więc ograniczyć się tylko zwrotem tego, co do pana należy.

Mówiąc to położyła na stole perły, dyamenty, i ów bilecik, pisany ręką hrabiego, otrzymany wczoraj.

— Pani mnie krzywdzisz,—rzekł hrabia, blady i ponury,—ale nic nie odpowiem.

— Dobrze pan zrobisz. Wierz mi, mogłabym przebaczyć niewierność, bo to się trafia mimowolnie; ale fałszu darować nie mogę. Wzgardziłeś nią dla mnie, jeszcze przed chwilą to zrobiłeś, a jednak ją, nie mnie kochałeś. Kochając ją, chciałeś mnie zaślubić. Pieniądze to, te nędzne pieniądze, to zrządziły! Ale cóż mam mówić więcéj? Wiesz pan już, co o panu sądzę.

Hrabia de Renneville drżał z gniewu i wstydu. Spokojna wzgarda Sybilli nie dopuszczała prośby o przebaczenie. Gdy jednak posunęła się ku drzwiom, nie mógł przemódz na sobie, żeby nie zrobić próby pojednania.

— Panno Sybillo,—rzekł,—mamyż się tak rozstać? Pozwól mi się pani wytłómaczyć; pozwól mi pomówić z ciotką pani.

— Ze mną trzeba mówić,—przerwała Sybilla,—ja ostatnia dałam przyzwolenie, mnie pierwszéj służy prawo je cofnąć. Przekonaj mię pan, żem mylnie go osądziła, jeżeli możesz.

Ale hrabia de Renneville, nie mógł tego zrobić. Był o tyle honorowym człowiekiem, iż nie mógł wyprzéć się własnego pisma, ani poprostu skłamać.. Zmarszczył brwi i rzekł pochmurnie:

— Kobiéty skłonne są do surowego sądu o ludziach i ich naturze; wymagają więcéj niż od ułomnych istot można wymagać, ale sądziłem, że pani masz we mnie nieco zaufania, trochę wiary w mój honor.

— Dość,—przerwała Sybilla z lekkiém skinieniem ręki,—dość, panie!

I wyszła z altany, spoglądając tak zimno i wyniośle, że jeżeli kiedy Andrzéj de Rennevile skłonny był do nienawidzenia kobiét, to pewno wtedy.

Wyszła Sybilla z altany, nie oglądając się, a hrabia nie usiłował jéj zatrzymywać. I dobrze zrobił; wszystko było skończone, i na nic by się nie zdało upokorzenie.

— Wszystko skończone,—myślała Sybilla, wchodząc do domu;—wszystko skończone nazawsze! Cieszy mię to, że się nie płaszczył przynajmniéj.

Miss Glyn, zapytując, gdzie się podziały klejnoty, dowiedziała się o stanowczem zerwaniu. Porwawszy siostrzenicę za rękę, pociągnęła ją do pokoju ojca.

— Cóż Sybillo, jakże twój ból głowy?,—zapytał, nie wstając od biórka.

— Odmówiła hrabiemu!—zawołała miss Glyn,—teraz, kiedy już po zapowiedziach!

— Sybillo!—krzyknął Kennedy, zerwawszy się z krzesła. Myślał, że córka zaprzeczy temu, ale widząc prawdę w jéj oczach, zapytał niespokojnie:—Dlaczegoś to uczyniła?—czy wiesz coś uczyniła?

— Nie mogłam postąpić inaczéj,—smutnie odpowiedziała Sybilla.—Dowiedziałam się, że kocha inną, nie zaprzeczył temu, więc rozstaliśmy się.

— Kogo takiego?—z gniewem zapytała miss Glyn.

— Nie powiedziano mi jéj nazwiska,—odpowiedziała Sybilla,—dość, że on był fałszywy i że nie zaprzeczył faktu.

Mówiła głosem cichym, monotonnym, ale stanowczym.

— I tak sama się rozporządziłaś, nie poradziwszy się nikogo? rzekła z naciskiem miss Glyn.

— Zaporywczo działałaś,—rzekł poważnie Kennedy, którego dotknęło to boleśnie.

— Nie mogłam wyjść za człowieka, któremu szło tylko o moje pieniądze.

— Skądże to wiész?—zapytała ciotka.

— Nie zaprzeczył temu.

Nie było co na to odpowiedzieć, więc miss Glyn zwróciła gniew w inną stronę.

—Panie Kennedy,—rzekła ze złością,—ów człowiek jest powodem tego wszystkiego.

Kennedy gryzł pióro, nic nie mówiąc, Sybilla wymknęła się pocichu z pokoju i poszła na górę. U drzwi spotkała Blankę. Weszła do jéj pokoju, objęła ją w ramiona i rzekła namiętnie:

— Blanko, kocham cię więcéj niż kiedykolwiek, więcéj niż kiedykolwiek!

— Co się stało?—zapytała miss Cains, spoglądając zdziwiona.

— Zerwaliśmy... wszystko skończone... ale kocham cię więcéj niż kiedy! *(d. c. n)*

NOWINY.

— Na zbliżającą się gwiazdkę, składy nasze księgarskie przygotowały dla dzieci i dorastającéj młodzieży, niemały zapas zabawek umysłowych, które *vulgo* nazywamy książkami. Niepodobna jest wyliczać tu wszystkie te cacka umysłowe, do których wypadałoby więcéj zachęcać umysł ludzi *in spe*, niż do lalek i innych błyskotnych drobiazgów, wprowadzających do głowy ich i serca skarłowaciałość duchową,—poprzestaniemy na wymienieniu niektórych dziełek, ważniejszych. Pan Sennewald, obok wielu powiastek illustrowanych i książek treści religijnéj, wydał przełożone przez p. J. Chęcińskiego, opowiadanie kapitana Mayna-Rejda p. t. „Na spodzie okrętu“, czyli „Podróż młodego marynarza śród ciemności“, tudzież „Nowe powieści dla młodzieży dojrzalszéj.“ P. Wenda wydał „Powieści z tysiąca nocy i jedna“. P. Loeve, w Lipsku, zebrał „Baśni dla dzieci“, treści zajmującéj i pouczającéj, lecz język w nich mocno zaniedbany. W zbiorze p. Sennewalda są wszystkie imiona, zasłużone w literaturze przeznaczonéj dla dzieci.

— Przegląd Tygodniowy, który od Nowego Roku zwiększa bojowe swe bateryę, w imię, jak powiada, prawdy i postępu, w co chętnie wierzymy, zapowiada w swych szpaltach druk pokojowych utworów: p. Piotra Chmielowskiego, p. t.: „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego“, tudzież p. Juljana Ochorowicza, studyum psychiczne: „Wiara uzdrawia.“

— Prasa Francuzka mogłaby bibliograficznym swym opisem zapełnić całą szpaltę *Nowin*, gdybyśmy chcieli jéj tylko dać wyłącznie w nich miejsce. Chcąc zaś postępować w myśl staro-łacińskiego przysłowia: „et haec facienda, et hoc non omitenda“, poprzestajemy tu na wymienieniu kilku dzieł poważniejszéj treści: „Austrya i Węgry,“ przez p. Daniela Levy; „Francya najechana“ przez Charetie; „O prawie karania“ przez E. Girardin i „Człowiek—cuda natury ludzkiéj,“ przez Zimmermann'a.

— Gazety rossyjskie donoszą, że od Wytiegry do Onegi, ma być przeprowadzona kolej żelazna. Zarząd zaś kolei Charkowsko-Azowskiéj, ogłosił konkurs na dzieło, któreby wskazało sposoby do ochronienia drogi Azowskiéj od zasp śnieżnych.

— Professor Petersburgskiéj Akademii Duchownéj, miał trzy publiczne odczyty „O ruchu starokatolickim w Niemczech i o Monachijskim kongresie.“

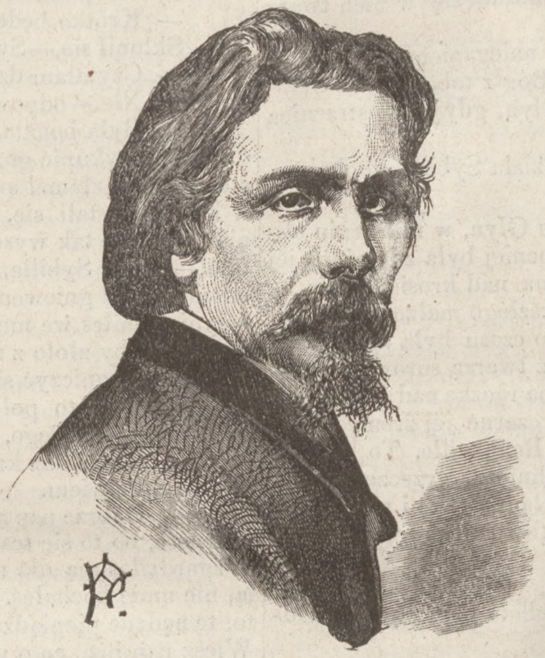
— Mikołaj Turgieniew, ekonomista i finansista rossyjski, zmarł w Vert-Bois pod Paryżem.

— W gubernii Grodzieńskiéj, we własnym majątku, zmarł ostatni brat Adama, Aleksander Mickiewicz, znany z prac swych uczonych w dziedzinie prawa. Dzieło, p. t. „Jaki wpływ prawodawstwo rzymskie na prawo polskie i litewskie mieć mogło,“ utorowało drogę zmarłemu do katedry prawa w Liceum Krzemienieckiém. W roku 1832 powołany został Mickiewicz do wykładu prawa w Uniwersytecie Kijowskim, a potém Charkowskim. W rękopismach pozostały: „Kurs prawa“ wykładany w Krzemieńcu, i „Encyklopedya prawna“.

— Popularyzator nauk G. Hartwig wydał dzieło illustrowane, p. t. „Das Leben des Luftmeeres.“

— Börzen-Zejtung wzywa całe Niemcy do niesienia wsparcia, żyjącemu o chłodzie i głodzie w Norymberdze, pamiętnéj prześladowaniem Wita-Sztwosa, sędziwemu filozofowi Feuerbachowi. Rzecz smutna!

— W szeregu odczytów, zapowiedzianych w sali Tow. Dobroczynności, redaktor „Zorzy“ p. Grajnert, będzie miał odczyt „O świecie podaniowym w obec poezyi i literatury.“



Aleksander Zarzycki. (Patrz życiorys, str. 402.)

— We Florencyi pierwszym fotografistą jest rodak nasz Strzembosz.

—Zwłoki Aleksandra Dumas'a mają być wkrótce sprowadzone do Paryża, gdzie spotka je świetny pogrzeb.

— Włochy, usiłują uczynić kraj swój ogniskiem handlu powszechnego. W tym celu kapitaliści projektują utworzenie stowarzyszenia, któreby za kilkaset miljonów, zebranych za akcye, zakupiło wszystkie parostatki włoskie, dla przewozu zagranicznego osób i towarów.

— Niéma więc słońca bez obłoczków, na bożéj ziemi! Za pozwolenie kopania złota w Cap, potrzeba płacić rządowi 10 szyllingów miesięcznie, a obok tego umierać z pragnienia. Rzecz przykra, lecz dla zdobycia złota, miło i pocierpieć!!

— Zima nie oszczędza lodowych swych uścisków Francuzom. W Paryżu, w nocy z 8—9 grudnia był mróz dochodzący do 17 stopni według Rèaumur'a, a na północy Francyi do 22° podług Celsiusza. Zaspy śnieżne w wielu punktach utrudzają podróż koleją.

— W wielu uniwersytetach starego i nowego świata, kobiety zapisują się licznie na wydział medyczny. Szczególnie szczęśliwy jest w tym względzie uniwersytet Zürichski, liczący 30 uczenic na wydziale medycznym. Poezya opiewała dotąd czarodziejstwo tych *istot nadziemskich*, których czary sprowadzały co najmniéj zawrót do głów płci brzydkiéj; czyż znajdzie się jaki Tybull, uwielbiający zdrowiodajne doktorki?..

— Literaci rossyjscy, w celu oświecania drogą rozrywki, mass militarnych, utworzyli pismo peryodyczne p. t. „Dosug i Dieło“ (Wypoczynek i praca), składające się z sześciu poszytów rocznie.

— Wyszedł z druku nowy Kalendarz Jaworskiego, na rok 1872. Wiadomo, iż pomiędzy Kalendarzami tutejszémi innych wydawnictw, książka ta odznaczała się zawsze tak doborem artykułów, jako i pięknością drzeworytów, przewyższając o wiele, chociaż niby tańszy, to jednakże znacznie téż i mniéj ważący pod względem treści, Kalendarz Ungra, który, jak wiele innych tejże firmy wydawnictw, więcéj zawsze pozornych tylko przymiotów, aniżeli rzeczywistych w sobie zawiera. Otóż i tegoroczne wydanie Kalendarza Jaworskiego, wyjąwszy artykułu p. t. „Literatura Polska“ (str. 48), tchnącego wyraźną propagandą na korzyść właśnie firmy Ungra, a obskurantyzmem zupełnym pod względem znajomości przedmiotu, o którym p. F. S. pisze,—w niczém nie ustępuje poprzednim.

Do dzisiejszego numeru dołącza się prospekt na „Przegląd Tygodniowy“.

Patrz Dodatek.

Dzieciom Czytelników swoich, „Opiekun Domowy" na Gwiazdkę.

(Dodatek do N-ru 51-go.)

GROŹNA GWIAZDKA

Wigilii Bożego Narodzenia.

NAPISAŁ

Lucyan Falkiewicz.

Uroczyste to zjawisko, ta Gwiazdka Bożego Narodzenia w każdém kółku rodzinném,.. czy to ona zabłyśnie nad wspaniałym gmachem bogacza, czy zejdzie nad ubożuchną strzechą zaciszy wiejskiéj.

W każdym chrześciańskim przybytku, przeobraża się w świetlaną postać opiekunki domowéj, pocieszycielki dziatwy, a dla sędziwych, w posłanniczkę z krainy wspomnień minionéj swobody wieku dziecinnego.

Witamy ją zatém wszyscy, z równém upragnieniem, tę najpiękniejszą gwiazdę, witaną u nas ze czcią od wieków...

Lecz są okoliczności dziwne, niezbadane,—są gwiazdy smutne w życiu ludzkiém, o zimném i surowém spojrzeniu, zwiastujące wielu dzieciom téj ziemi, straszne próby życia, zawzięte walki z losem.

Na widok takiéj złowrogiéj gwiazdki, pokrywają się lica czeladki, bladością przerażenia, a w sercach jéj budzi się przeczucie blizkiego nieszczęścia.

Smutny ten promyk niebios migocze wśród chmur nawału, dla wielu, bardzo wielu, w dniu tym uroczystym, i świątkujących, prócz cichéj rezygnacyi, nie darzy żadną radością.

W opowiadaniu, jakie na ten temat skreśliłem, przygotujcie się, czytelnicy moi mali, do ujrzenia takiéj gwiazdki

Lecz posłuchajcie lepiéj, bo przystępuję do rzeczy:

Znane wam są z opisu, góry, zwane Beskidami.

Jestto pasmo Karpat, poczynające się na pograniczu Szlązka austryackiego od Galicyi, ciągnące się długim łańcuchem aż do obwodu Stryjskiego, również w Galicyi położonego, a dochodzące w niektórych okolicach, do tak znacznéj wysokości, że na ich wierzchołkach, podobnie jak na szczytach Alp szwajcarskich lub tyrolskich, czasami śnieg przez cały rok nie topnieje,—a nawet, jak na pograniczu Węgier, tworzą tak zwane ślizgowce. Dolne pochyłości tych gór, pokryte są ciemnemi lasami, wyższe, tylko jałowcowemi krzewami, a najwyższe szczyty, śniegiem.

Beskidy wywodzą swą nazwę od Biesów, (Bieszów) pokolenia scytyjskiego, które niegdyś, u stóp tych gór miały jakoby swą siedzibę. O tych Biesach wspomina już Ptolomeusz, pod nazwiskiem Bastranów. Za czasów Trajana, mieszkali w tych stronach Karpiani, lecz ci, jak dzieje podają, jeszcze za Aureliana, siedliska swe opuścili i w żyźniejszą okolicę naddunajską powędrowali. Od tych znów ostatnich, miały Karpaty otrzymać swe nazwisko.

Otóż, w takiéj okolicy, na granicy węgiersko-galicyjskiéj, mianowicie w obwodzie Wadowieckim, nawiedzanéj częstemi zawiejami, podczas pory zimowéj, a nawet zagrażanéj zasypaniem nawałą śniegów, osiadł, już nieco w podeszłym wieku, z zamiłowania gospodarstwa owczarskiego i myśliwstwa, a może też dla cudownéj miejscowości, pyszniącéj się wspaniałemi widokami w porze letniéj, niejaki Grzegorz Grabek, wraz z żoną i synem jedynakiem, już dorosłym młodzieńcem.

Był on przedtém handlarzem bydła, a uzbierawszy sobie jaki taki kapitalik, zaprzestał dalszéj włóczęgi po świecie, mianowicie uciążliwéj podróży z wołami, do Ołomuńca i Wiednia, — gdyż kolei żelaznéj jeszcze podówczas niebyło, oddał się cichemu gospodarstwu, a obok tego, zbieraniu różnych ziół, z których dla okolicy i własnéj rodziny przyrządzał proste, lecz skuteczne lekarstwa.

W kilka lat po zamieszkaniu w tém miejcu, żona mu umarła, a syn Michał, nie mogąc zastąpić matki w troskliwości, jaką nieboszczka otaczała swego męża, ożenił się i zamieszkał przy ojcu, poruczywszy swéj młodéj małżonce Maryi, obowiązek pieczołowitości około sędziwego rodzica, z któréj to powinności wywiązywała się synowa z całą gorliwością i poświęceniem.

Czas, w którym obecne zdarzenie wprowadzam, był to właśnie dzień Gwiazdki, uroczystości Wigilii Bożego Narodzenia, którą stary Grabek z całą świętością krajowego zwyczaju, ze swą rodziną miał obchodzić;—lecz niestety.... no, ale nie będę wypadku wyprzedzał,—zobaczycie, moje dzieci, w dalszym ciągu, jakiéj ten staruszek, razem ze swą czeladką, Gwiazdki się doczekał. Grzegorz Grabek, doczekawszy się Wigilii siedemdziesięcioletniéj, był już starcem sędziwym, ale starcem co się zowie, że aż miło było spojrzeć na niego, czerstwym, o rumianem licu, chociaż głowa bielutka, jakby ją kto mlekiem oblał; a trzymał się tak prosto jeszcze, jak sosna karpacka.—Okularów nie potrzebował, bo miał wzrok tak bystry, że orły karpackie w same piersi lotkami godził i syna swego Michała, zawołanego strzelca w całéj okolicy, nieraz jeszcze w téj sztuce zawstydził. Podobnych starców dzisiaj mało widzieć się zdarza,—takie postacie chowa tylko natura, na wzór dla obecnéj generacyi i w nagrodę dla tych, co ją kochają.

Poranek Wigilii Bożego Narodzenia, zaświtał wspaniale. W całéj pysze wznosiły czoła wysokie Beskidy ku pogodnemu niebu, oblane różowym blaskiem porannego słońca. Jak daleko oko zasięgnąć mogło po nizinach dolin, rozpościerała się okolica smętna i ponura od skał do skał, od jarów do jarów, a chociaż ich biała powłoka migotała zasianemi brylantami i pyszniła się bogatą tkaniną szaty zimowéj, jaką się cała okryła przyroda, brakło wszakże jéj ciepła i życia, więc nie rozweselała serca, a tylko zdumiewała oko.

Najwyższe wierzchołki potężnego Krywanu, lśniące rubinami porannych promieni, rzucały daleko cień na niższe okolice. Uroczysta cisza, podobna do martwego spokoju puszcz afrykańskich, lub niezmierzonych łąk Sawanny północnéj Ameryki, zaległa skostniałe przestworze, przyobleczone w biały całun śniegu.

Słońce zaledwie się obejrzało po swojem uśpioném państwie, wkrótce znów zapadło na zachodzie w purpurowéj kąpieli, a w dolinach rozpostarł się, po jego ustąpieniu, szaro-ołowiany zmrok i zapanował nad milczącą okolicą.

Stary Grzegorz, w ciepłéj izbie, siedział w swojem ulubioném krześle poręczowém z brzozowego drzewa przy stole i czytał poważnym głosem, wspartemu na jego kolanach wnuczkowi, dziesięcioletniemu Pawełkowi, stosowne do dnia tak uroczystego, ustępy z Biblii Świętéj.

Z dalekiéj osady sąsiedniéj,—niby piosnka anielska, dochodził Grabka odgłos dzwonka kościelnego, wzywającego do modlitwy wieczornéj, a zarazem zapowiadającego uroczyste rozpoczęcie wieczerzy świętéj. Dziś, dźwięk ten religijny, wyraźniéj niż kiedykol wiek odbijał się w izbie sędziwego pustelnika, bowiem cisza była niezwykła w przestworzu, a pomieszkanie Grabka, leżało daleko od sąsiedniéj osady, samotne u stóp wzniosłego Krywanu, którego majestatyczny szczyt, tylko przy pogodném niebie mógł być widziany, bo głęboko tonął w górnym eterze. Dźwięk dzwonka wieczornego, i cisza poważna napełniły starca uczuciem dziękczynném dla Pana wszechświatów.

Złożył więc księgę i rzekł, do krzątającéj się około wieczerzy synowéj.

— Maryś, czy przygotowałaś lampę dla Najświętszéj Panny i jéj nowonarodzonego Dzieciątka?..

— Zaraz ją przygotuję,—odpowiedziała synowa Grzegorza, wysmukła i młoda niewiasta, około lat trzydziestu licząca.—

— Nie zaniedbuj, moje dziecko, téj ofiary nigdy. Matka Zbawiciela nie opuści tych, co jéj zaufają i należną jéj część oddają,—dodał starzec.

Marya zdjęła czerwoną lampę z przed obrazu swéj patronki, zapaliła knot, a światło ofiarne padło różowo na jéj białą suknię, jak promień porannego słońa na śnieżną lilię. Włożyła lampę do lampnika i wnet pospieszyła do okna, wyglądając na świat, pomrokiem nocy okryty.

— Co to jest, że Michała tak długo nie widać? Zaczynam się obawiać o niego;—zresztą nie możemy bez niego siąść do wieczerzy.

Wnuk Grzegorza, mały Pawełek, który jak motyl, krążył około przygotowanego stołu i snopka słomy, starym zwyczajem w kącie izby umieszczonego, dzielił niepokój matki i niezmordowanie biegał od okna do okna, wyglądając z niecierpliwością ojca.

— Musi z grubą powracać zdobyczą, kiedy mu tak trudno zdążyć do domu i na wieczerzę—odrzekł żartobliwie stary Grabek.

— Już po piątéj, a Michał miał wrócić o 4-téj. Czy go tylko nie spotkało jakie nieszczęście?—dodała zaniepokojona Marya.

— Nie lękaj się o niego, kochane dziecię. Michał, bywalec i praktyk nie lada, zna on się dobrze na swojém rzemiośle, a droga go nie zbałamuci, choćby mu przyszło o północy zleść z dzioba orlego w dolinę.— Dziobem orlim, nazywano szczyt Krywanu.

Na te słowa, zaglądnął mały Pawełek do okna i nagle zawołał:

— Patrz-no, dziadziu, jak się ten dziob przedłużył.

Starzec wstał, zbliżył się do okna, spojrzał do góry ku szczytowi Krywanu, pokręcił głową i rzekł:

— Prawdę mówisz, malcze, niedobry to znak, kiedy orzeł szyję wyciągnie i ku dolinie spogląda. [illegible] ciekawość wróżyła nizi-

nom zawsze jakieś nieszczęście. Lecz ufajmy Bogu, który króluje nad najgroźniejszemi lawinami.

— Ojcze,—rzekła, coraz bardziéj zaniepokojona o swego męża, Marya.—Mam jeszcze jeden sprawunek w karczmie. Brakuje mi świec,—a może też na téj drodze spotkam Michała, to wrócimy razem.

— Nie mam nic przeciwko temu; lecz wracaj prędko, bo Michała tylko co nie widać; żebyśmy znowu z wieczerzą na ciebie nie czekali, jeżeli się miniecie w drodze.

Marya włożyła jupkę futrzaną na siebie i skwapliwie wyszła z izby. Zaledwie zdążyła do krzyża, stojącego na pół drogi między domem Grabka a gospodą okolicy, ujrzała zdala Michała, wracającego do domu.. Lecz chód jéj męża, zdawał się być niepewnym, a gdy się zbliżył, spostrzegła że w kilku miejscach był chustkami i szmatami obwiązany.

— O mój Boże!.. zawołała przestraszona żona, poznawszy Michała zblizka.—Co ci jest?.. Co się z tobą stało?.. Musisz być skaleczony?.. Te szmaty...

— To nic, fraszka,—odrzekł z uśmiechem Michał.—Tym razem, otrzymałem małą nauczkę od zatwardziałych i ostrokanciastych skał, kiedym mojego wiernego Bryndusa od zguby ratował. Wyobraź sobie, — ciągnął daléj w zapale Michał, jak żyję, takiego instynktu nie zdarzyło mi się widziéć w niemém stworzeniu. Szedł spokojnie ze mną i dobiegał od czasu do czasu do jakiejś kobiéty, która o kilka kroków szła powoli przedemną, nad brzegiem skalistym, zasypanym śniegiem. Nagle, znikła nam z oczu; pies, jakby go kto oparzył, puścił się, jak strzała w to miejsce, i także gdzieś przepadł. Przyśpieszyłem kroku, a z rozpadliny skał dochodziło mię tylko wołanie o pomoc kobiéty i skomlenie Bryndusa. Zsunąłem się więc w kilkosążniową szczelinę i z wielkim wysileniem wydźwignąłem kobiétę z przepaści, a następnie wyciągnąłem Bryndusa z matni, z któréj nadaremnie usiłował wydrapać się.

— Ach, cóż za nierozwaga!... A gdybyś i ty nie zdołał był się wydostać z téj nory?..... Można było pójść po ludzi do Zagrobeli, toby jakoś było pewniéj i śmieléj.

— Ale, ale, — to daleka droga do ratunku. Po co mi kogo do pomocy, jeżeli sam mogłem to zrobić? Zresztą, znałem to miejsce dokładnie, z pory letniéj. Są tam wprawdzie ostre żebra, po których ostrożnie i wprawnie się staczając, można bezpiecznie wydobyć się, jak po schodach; lecz dla nagromadzonego śniegu, pomyliłem się o kilka ostrych szczerbów, kiedy psa wyciągałem, i tak razem wpadliśmy znowu w rozłom. Ot i cała historya; podrapałem się trochę i nic więcéj. Ale Bryndus, biedny, gorzéj wyszedł na téj awanturze, bo upadłem na niego własnym ciężarem i przygniotłem go do stérczących kamieni.

— I gdzież on jest?... zapytała z ubolewaniem Marya.

Zostawiłem go u staréj Marty we wsi, na kuracyi. Spodziewam się wszakże, że mu nic nie będzie i za kilka dni zabiorę go do domu.

Uspokoiła się Marya, a Michał, dowiedziawszy się o celu jéj wyjścia z domu, zawrócił się z żoną do karczmy, po kupno świec.

Już było ciemno w nizinach, lecz szczyt Krywanu, jak olbrzymia lampa, jaśniał jeszcze złotym odblaskiem zapadłego słońca, którego na widnokręgu już dawno nie było widać. Był to widok wspaniały. W ciemnéj już nocy, rozsiadł się Krywan spokojnie w cudownym majestacie; a u stóp jego panowała cisza grobowa. Lasy i cała okolica pokryte były grubą warstwą śniegu, bo zima tego roku, mocniéj jak kiedykolwiek potrząsła swą lodowatą głową. Kiedy Michał z Maryą, powracając do domu, przechodzili u stóp orléj skały, nagle się zatrzymał, ścisnął mimowolnie konwulsyjnie rękę Maryi i spojrzał bojaźliwie ku strasznéj i groźnéj wysokości.

— Dziób orli nie wróży dzisiaj nic dobrego, —przemówił Michał.—Czybyśmy nie mogli namówić ojca, aby na kilka dni opuścił pomieszkanie, i na ten czas przeniósł się do sąsiedniéj Zagrobeli?

— Będziemy go prosić,—odrzekła Marya,—lecz nie sądzę, aby się dał nakłonić.

Stary Grzegorz, siedział tymczasem przy piecu i rozpowiadał Pawełkowi rózne historye o dawnych czasach, a przytaczając ciekawe ustępy z pisma świętego, zatrzymał uwagę dziecka na zwyczaju słowiańskim, obchodzenia wieczerzy świętéj. Następnie tłómaczył mu własności ziół, ich pożytek i sposoby wydobywania z nich skutecznych leków, jakie dla domu i okolicznych chorych przyrządzał.

Pawełek słuchał mądrego dziadka z uwagą, gdy w tém weszli do izby Michał z żoną swą Maryą.

Po przywitaniu się z ojcem, zbliżył się Michał do okna i z wyraźnym niepokojem, badał groźnie zawieszone massy śniegu, niebotycznego Krywanu.

— Ojcze mój,—rzekła nareszcie, głosem troskliwości, — czyby to nie było dobrze, abyś na kilka dni przeniósł się do Zagrobeli?... Ten orzeł, jakoś złowrogo spąglądа na nasz domek. Nie dowierzam mu dziś bardziéj niż kiedykolwiek. On knuje zdradę; i kto wié, czy skrzydłami swémi wkrótce nie potrząśnie;—a wtenczas będzie za późno; i biada nam.

— Skrzydeł jego,—odpowiedział starzec spokojnie,—nie potrzebujemy się obawiać. Nie piérwszy to on raz tak samo nam grozi, a pierze jego przelatywały zawsze przez nasz domek, nie dotknąwszy nawet krokwi dachu.

— Lecz tak straszliwie nie było jeszcze nigdy jak dzisiaj,—popiérał swą obawę Michał. Przechodziłem u stóp jego i zaglądałem mu w oczy zbliska.

— O, mój kochany ojcze!... błagała go Marya, ze złożonémi rękami.—Daj się nakłonić. Nie odrzucaj przezornéj rady. Ja sama, jak zapamiętam, nie widziałam tak nasrożonéj orlicy, jak w téj chwili. Przejdziemy do plebana w Zagrobeli, tam znajdziesz miłe przyjęcie. Przeprowadzimy cię, aby cię droga nie znużyła.

— O wy, małoduszni i nieufni, — zgromił stary Grabek swoje dzieci.—Cóż nas orlica obchodzi?... Czyż nad nią nie mieszka Mocniejszy Pan, co się nami opiekuje i nad naszém czuwa bezpieczeństwem?... Dobrze, żeście przyszli. Podaj Maryo opłatki, niech się z wami obdzielę tym anielskim chlebem i pobłogosławię wam w waszych zamysłach; a utwierdzi się w was nadzieja i wiara. Marya podała opłatki w milczeniu; a stary Grzegorz, odmówiwszy krótką modlitwę, łamał się kolendą z Michałem, Maryą i wnuczkiem, który zaniepokojony obawą ojca i matki, jakoś smutny siedział pod piecem i nie dopytywał się nawet o choinkę, mającą się po wieczerzy pojawić w izbie, jak to z przeszłego zapamiętał roku.

— Gdy się więc zbliżali do stołu, nakrytego białym obrusem, pod którym rozesłane było siano, a starzec wziął butelkę z krupnikiem (wódka przyprawiona z miodem) i kieliszek dla poczęstowania tym przez siebie urządzonym likworem, swe dzieci, nagle, jakby oddalony grzmot obił się głucho o ściany izby i przeraził wszystkich swym złowieszczym hukiem.

Michał wypadł z izby na podwórze i powrócił blady, jak trup.

— Ściana śniegu urwała się niedaléj jak pół mili ztąd!—zawołał z wyrazem największéj trwogi.

Grzmot umikł, w izbie zapanowało grobowe milczenie, a na twarzy starca przebiegło chwilowe wzruszenie. Spojrzał przez okno na śnieżnego olbrzyma i nic nie mówiąc, postawił butelkę na stole, nie skosztowawszy przysłodzonego napoju.

— W saméj rzeczy, orlica skrzydła zniżyła, — rzekł w zamyśleniu starzec.

— Na miłość Boga, — zawołał Michał. Uchodźmy ztąd, póki czas. Wkrótce możemy grób znaleść w tym domu. Jeżeli mię oko nie zwodzi, ta ściana śniegu może na stopę wysunęła się naprzód.

— Już za późno,—odpowiedział spokojnie stary Grabek.—Jeżeli niebezpieczeństwo wisi nad nami, to nasze kroki, przy téj ciszy nocnej, mogą zbudzić orlicę z zadumania i zasypać nas na drodze. Jesteśmy w ręku Boga, moje dzieci!... Pawełku, uklęknij i mów pacierz. Dziecinna modlitwa najskuteczniejszą jest w chwilach trwogi i groźby.

Pawełek ukląkł, lecz nie mógł i słowa wymówić, tak był przelękniony. Zaczął więc płakać, ze złożonémi rękami.

Wtém, dał się słyszéć drugi, głośniejszy grzmot w okolicy.

Marya uklękła przy dziecku, które obiema rękami chwyciło się jéj kolan.

Michał stał blady, jak posąg kamienny, oparty o okno, spoglądając od czasu do czasu to na dwór, to na żonę z Pawełkiem, to na ojca, siedzącego w bronzowym szezlągu, z podniesioną do góry głową, jak mędrzec pański, do którego żaden przestrach przystępu nie ma. Oblicze jego było spokojne; z nieugiętą wiarą i poczuciem swéj prawości, rzekł uroczystym głosem:

— Niech grzmot ryczy i cała góra śniegu się zwali, — mocniejszy nad grzmot i śnieżne bałwany, jest Pan światów, który nie dopuści zguby sprawiedliwego. Odłóżmy dzisiaj wieczerzę do ustąpienia niebezpieczeństwa. Następnie, grzmoty mogą byś straszniejsze, lecz przelecą po nad naszemi głowami. Czekajmy więc i ufajmy Bogu, on nas z pod ciężaru najgroźniejszéj lawiny wybawi.

Michał znowu wyszedł przed dom i rozglądał się po przestworzu, z bijącém sercem o los, jaki jego familii zagrażał.

Światła dalekie już pogasły, a i w sąsiedniéj Zagrobeli było ciemno. Michał spojrzał jeszcze raz w górę, a jego obawa przeszła w najwyższy stopień przerażenia.

Ściana śniegu znowu się znacznie zniżyła i olbrzymia wisiała nad domkiem, gotując nieuniknioną zgubę, jeżeli się po za jego obwód nie przerzuci.

Stary Grabek siedział w zadumaniu. Lampa rzucała karminowe światło na obraz Najświętszéj Panny i krasiła odcieniem swego szkarłatu, białe ściany izby. Dwie świece paliły się na stole zastawionym postnémi potrawami, nietkniętémi przez czeladkę, oczekującą na katastrofę. Marya usiadła pod obrazem swéj patronki i zdawała się modlić w milczeniu. Obok niéj uśiadł na podłodze Pawełek, bawiąc się jabłkiem, o takim samym jak on, czerwonym policzku.

Michał przyszedł do izby, spojrzał na milczącą drużynę, lecz gnany wewnętrznym niepokojem, znowu wyszedł na dwór.

Milczenie to ogólne, przerwał sędziwy Grzegorz.

— Pawełku, podaj mi Biblią.

Pawełek pobiegł do szafy i podał dziadkowi Pismo Święte.

Grzegorz otworzył zaznaczone miejsce poważnéj księgi i zaczął na głos czytać, aby myśli oczekujących niebezpieczeństwa, rozerwać religijnym przedmiotem.

„A gdy się Jezus narodził w Betlehemie Judzkiém, za dni Heroda króla, oto mędrcy ze wschodu słońca przybyli do Jerozolimy, mówiąc:

„Gdzież jest ten, który się narodził, Król żydowski? Bośmy widzieli gwiazdę jego na wschód słońca i przyszliśmy, abyśmy mu się pokłonili.

„Co gdy Herod usłyszał, zatrwożył się wielce i wszystko Jeruzalem z nim.

„Przetoż, zebrawszy wszystkie przedniejsze kapłany i nauczyciele ludu, dowiadywał się od nich, gdzieby się miał Chrystus narodzić.

„A oni mu rzekli: W Betlehemie Judzkiém, bo tak napisano u Proroka:

„I ty Betlehemie, ziemio Judzka, żadną miarą nie jesteś najmniejsze między książęty judzkiemi, albowiem z ciebie wynijdzie wódz, który rządzić będzie lud mój Izraelski.

„Tedy Herod, wezwawszy potajemnie onych mędrców, pilnie wywiadywał się od nich o czasie, którego się gwiazda ukazała."

Na te ostatnie słowa pisma świętego, wszedł Michał do izby i zaczął sam pocieszać Maryą, chociaż serce jego przepełnione było największą obawą. Jedyną zaspakajającą nadzieją było, że lawina, według zdania jego ojca, z tak ogromnéj wysokości wyparta, przelecić może przez ich domek, jak to już kilkakrotnie miało miejsce. Na podniesienie téj otuchy, wziął flaszkę z krupnikiem, nalał kieliszek, a zwróciwszy się do starca, rzekł:

— Piję za pomyślność ocalenia naszego!.. Cokolwiek nas spotka, radość czy cierpienie, Bóg z nami, on nam zaginąć nie pozwoli.— Ojcze, w wasze ręce!..

Lecz nim zbliżył kieliszek napełniony do ust, ręka mu się zachwiała, bo cały został wstrząśnięty i płyn z kieliszka wylał się na podłogę.

Domek zadrżał w swoich podwalinach, lampa wypadła z lampnika i własnym się płynem zalała. W téj saméj chwili, Marya i Michał, jakby im kto nogi popodrywał, zostali od razu rzuceni na ziemię. Ściana śniegu zerwała się zeszczytu Krywanu i z przerażającym hukiem grzmotu spadła na dom Grabków, zasypawszy go na niezmierną wysokość; a przywaliwszy swym ciężarem, połknęła go jak ptasie gniazdo i skryła w swojém grobowém łonie.

Po krótkiéj lecz strasznéj pauzie, niby z letargu przebudzony, powstał Michał z ziemi, dla przekanania się o wielkości nieszczęścia.

— Jesteśmy żywcem zagrzebani!.. wyjąknął nareszcie, przytłumionym głosem. Poczem, przystąpił do omdlałéj żony, usiłował ją do życia przywrócić i uspokoić zanoszącego się od płaczu Pawełka.

— Ale Bóg, nie jest z nami zagrzebany!—odrzekł pobożny starzec, z całą stałością swéj wiary.—Jego moc i dobroć jest ta sama co przedtém; dlatego nie godzi się rozpaczać. Przekonajmy się raczéj o wielkości lawiny. Jeżeli rąk nie pożałujemy, to nadzieja wydobycia się z téj matni nie znikła; a może też i pomoc z zewnątrz nadejdzie.

W izbie było ciemno, bo i lichtarze ze świecami, pospadały ze stołu na ziemię i pogasły. Michał zapalił jednę świecę, obejrzał drzwi i okna mchem pookładane, lecz te ostatnie usiłował nadaremnie otworzyć, bo massa śniegu przywaliła je od zewnątrz, siłą do usunięcia niepodobną.

Komin na dachu został zdruzgotany, a dym z pieca, w którym się jeszcze paliło, mając wyjście zatamowane, pchał się do wnętrza i napełnił swą duszącą atmosferą całą izbę. Musiano więc ogień zalać, chcąc uniknąć śmierci z uduszenia. Michał zaczął z olbrzymią siłą pracować, aby drzwi otworzyć; nawet stary Grzegorz i Pawełek przyłączyli się do pomocy, lecz wszelkie usiłowania były nadaremne. Po kilku godzinnéj pracy, siły zakrakło nieszczęśliwym i ręce im opadły bezwładnie.

Niepodobieństwem było co działać. Nie pozostało przeto nic innego, jak zaprzestać bezskutecznego trudu na teraz, a pokrzepiwszy się pożywieniem i snem, zaczekać do jutra.

Tak więc, spożywano wieczerzę świętą w śnieżnym grobie, oszczędnie, bo nie wiedziano na jak długo ten zapas wystarczyć im będzie musiał.

Pokładli się więc spać. Niespokojny, trapiącemi marzeniami przeplatany sen, osłonił swem ciężkiém skrzydłem, żywcem zakopanych.

Skoro na ściennym zegarze wybiła godzina poranna, powstali znużeni do modlitwy i nowéj pracy, w sam dzień uroczysty Bożego Narodzenia. W izbie rozgościł się zmrok ponury, bo pocieszający promień dzienny nie zawitał do zimnego grobu nieszczęśliwéj familii. Z największém tedy natężeniem, wzięto się do nowéj pracy. Udało się też otworzyć drzwi od podwórza, a następnie przekopać dość długi tunel przez śnieg w kierunku, w jakim spodziewano się naj krótszą drogą wydostać na wolne powietrze.

Wgłuchém osamotnieniu upłynął tak nieszczęślwym, przy nadludzkiém wysileniu, dzień pierwszy świąt Bożego Narodzenia.

Na dworze nastąpiła noc i zeszły gwiazdy na niebie, lecz zagrzebani, tego wszystkiego nie widzieli. Tylko zegar ścienny powiadamiał ich o porze dnia lub nadejścia nocy.

Z każdym dniem, położenie opuszczonych stawało się straszniejszém, a był to już czwarty dzień z kolei, ich życia grobowego.—Oléj przeznaczony do lampy już się wyczerpał, a i świec zaczęło im brakować, gdyż w dzień i do późnéj nocy używano takowych, przy wydrążaniu przekopu. Przypomniano sobie więc o świeczkach woskowych, poprzylepianych do choinki Pawełka. Skorzystano też i z tych, lecz i one na długo nie wystarczyły. Tak spłonęła Gwiazdka chłopięcia, przy stosach odwalanego śniegu, zamiast przy piernikach i złoconych orzechach.

Siły i odwaga słabły już w Maryi, która Pawełka utulała od zimna i uspakajała od ciągłego płaczu; ostatnia nadzieja ocalenia zamierała w jéj duszy. Michał wszakże, nie dawał poznać zwątpienia, lecz wytężając resztki sił swoich, pracował niezmordowanie daléj. Stary Grabek, trwając w swéj ufności w Bogu, dodawał mu otuchy, przypominając, że to nie pierwszy raz ramię Najwyższego od podobnego ochroniło ich niebezpieczeństwa, a nawet z groźnéj wyrwało śmierci.

Piątego dnia, już był Michał daleko postąpił na swéj podziemnéj drodze, lecz niestety, wszystko to okazało się bezowocném, bowiem ze świata zewnętrznego żaden głos go nie dochodził, chociaż nadsłuchiwał czujnie i sam głośno się odzywał. Głucho było do koła niego i nad nim. Siły go też opuszczały z każdą godziną, zwłaszcza, że zaczęło już brakować pożywienia, którémby pokrzepić mógł omdlewające z niedostatku ciało.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, rozdał stary Grabek w Wigilią, po między ubogich okolicznych, wiele z zapasu chleba, w który dniem przedtém, Marya dom zaopatrzyła.

Po długiéj i okropnéj, prawie bezsennéj nocy, nastał dzień szósty, a z jego nadejściem, nadzieja ratunku zaczęła opuszczać ten smutny przybytek, oddany, jak się zdawało, na pastwę najsroższego losu.

Dokoła rozsiadło się głuche milczenie, któremu towarzyszyła ciemność grobowa, gdyż ostatnie światła, a z niemi stoczkowe świeczki Pawełka, już zostały spalone.

Nadaremnie pocieszał stary Grabek swe dzieci rozpaczające i zatrwożone zbliżającém się pierwszém widmem śmierci, która Pawełkowi groziła. Leżał on bowiem w gorączce na swojem łóżeczku, przeziębiwszy się w nieopalanéj od tygodnia izbie i nagromadzonym w niéj śniegu. Dziadek dawał wnuczkowi wprawdzie własne lekarstwa, lecz te dla braku świeżego powietrza i potrzebnego ciepła, niewiele skutkowały. Katastrofa zatém okropnéj zgrozy zdawała się zbliżać, a pierwszą jéj ofiarą miał być Pawełek, właściciel zawiedzionéj Gwiazdki.

Stary Grabek, widząc nadaremne wysilenia Michała, radził temuż, aby nareszcie zaprzestał dalszego kopania, dowodząc, że napróżno ostatki sił wyczerpuje, nie mając środków do pokrzepienia takowych,—zwłaszcza, że im daléj wkopywał się w massę śniegu, tém większe przestrzenie przekopanéj już drogi zawalały się za nim, z których musiał się wydobywać w powrocie. Marya przechodziła już w stan bezprzytomności, a synek jéj, miotany napadami gorączkowéj maligny, był dla niéj przedmiotem najboleśniejszego uczucia, bo nie widziała dla swego dziecka żadnego środka ocalenia.

Wszystkim groziła śmierć nieomylna, jeżeli śpieszna pomoc zkąd nie nadejdzie.

Ostatnie szczątki pożywienia zostały już prawie spożyte, a co jeszcze z okruszyn pozostało, to rozdzielano pomiędzy siebie tak ską-

po, że głodu tém nie można było zaspokoić, a tylko go rozjątrzano.

Dzień szósty minął, lecz anioł wybawczy nie pojawił się w grobowéj ciemnicy Grabków. Straszna zmora śmierci, coraz to wyraźniéj występowała ze wszystkich kątów tego przybytku nędzy i niedoli, przed oczyma strapionych i niepocieszonych męczenników, wyciągając coraz śmieléj skostniałe i mroźne ramiona po swe ofiary.

Około wieczora dnia tego, już osłabł głos starca, który na całą dobę garść suchych okruszyn tylko spożył, a i z tych ujmował sobie, aby swym kochanym dzieciom kilka kęsów zostawić więcéj.

— Moje kochane dzieci,—rzekł nareszcie stary Grzegorz, przytłumionym głosem,—ręka Nieba dotknęła nas ciężko. Jeżeli w krótkim czasie miłosierdzia Swego nam nie udzieli, —to cierpieniom naszym koniec już blizki. Nie zaprawiajmyż tych chwil naszych ostatnich goryczą narzekania i bezpotrzebnéj, a bluźnierczéj rozpaczy.

W dniu siódmym, doszedł niedostatek do najwyższego stopnia. Już i stary Grabek siedział cicho w kącie ciemnéj i zimnéj pieczary, dogryzając ostatni kawałek suchéj skórki chleba, Michał oskrobywał konwulsyjnie słabemi palcami mech z okien, chcąc nim głód zaspokoić. Była to druga wigilia, Nowego Roku, w któréj rozpacz przeszła w stan niemego otrętwienia, które zwykło poprzedzać śmierć tego rodzaju.

Nikt już zegara nie naciągał, — nie wiedziano też, w którym dniu lub godzinie strasznego ucisku się znajdowano.

Milczenie zatrważające osiadło w tym zimnym i ciemnym czyścu ziemskim.

W stanie śmiertelnego przejścia, leżała Marya na swém łożu, prawie bez wiedzy o sobie i o tém wszystkiém, co się dokoła niéj działo. Instynktowo tylko tuliła do siebie słabo już oddychającego Pewełka, ogrzewając go równie słabém ciepłém swego ciała.

Ostatnich sił użył stary Grabek jeszcze, do podania resztek lekarstwa swemu wnuczkowi, po którém tenże usnął, — poczém sam usiadł w milczeniu i nie dawał już nawet znaku życia.

W takim stanie powitał familią Grabków, Rok Nowy. Michał, przeczuwając blizką katastrofę swego życia,—zachowawszy jeszcze najwięcéj przytomności umysłu, jako najsilniejszy ze wszystkich, zebrał po raz ostatni swe siły i z całém ich wysileniem, wysunął się powoli z izby, dla posłuchania w śniegowéj norze, czy go zbawczy jaki głos nie doleci.

Zaczołgał się więc aż do miejsca, gdzie droga przed nim się zawaliła. Tam upadł omdlały i prawie bez przytomności na posłanie śniegowe, które, jak przeczuwał, miało być jego łożem śmiertelném.

Niewiadomo jak długo w takim stanie przeleżał,—kiedy nagle, niby we śnie, zdawało mu się słyszeć znane szczekanie psa, w dość znacznem oddaleniu.

Podzwignął się więc w zdumieniu, a oparłszy głowę na słabych łokciach, nadsłuchiwał z największém natężeniem tego pierwszego głosu ze świata zewnętrznego.

Szczekanie zdawało się coraz bardziéj przybliżać, i jeżeli go słuch nie mylił, poznawał w tym głosie szczekanie swego wiernego Bryndusa.

Nowa otucha wstąpiła w serce napół obumarłe Michała i jakaś nadludzka siła zaczęła ożywiać jego duszę.

Tym niespodziewanym promieniem nadziei wzmocniony, powstał ze śniegu i śpiesznie wrócił do izby.

— Ojcze mój!.. Maryo!.. powstańcie!.. wołał z uniesieniem zolbrzymiały Michał. Ratunek, zdaje się jest, blisko nas. Poznałem głos naszego wiernego Bryndusa. Wyjdzcie za mną, jeżeli żyjecie jeszcze!.. Zwlekła się więc Marya ze swego łoża, okrywszy mocniéj śpiącego jeszcze Pawełka; a stary Grabek, wydawszy głębokie westchnienie z piersi, pośpieszył za synową. Tak szli oboje przekopem, za Michałem, krzyczącym z całych sił o pomoc i nadsłuchującym zbawczych głosów ze świata przedgrobowego.

Lecz nic nie usłyszano, cisza była do koła,—a rozpacz opanowała na nowo przywołanych do życia na krótką chwilę.

Tak minęło pół godziny, jak wiek długiéj, — gdy wtém, znowu z innéj strony, dał się słyszeć już bliższy i wyraźniejszy głos psiego szczekania, po którém poznano Bryndusa, a przy nim, zmieszane głosy ludzkie i stąpanie licznych kroków. Pojedyncze wyrazy głośnéj mowy i wołania, odbijały się w głębi téj jaskini; a nawet dochodziły wymienione ich nazwiska.

Michał wytężył słabe piersi, a wydobywszy z nich jaki mógł najmocniejszy głos, odpowiedział na dochodzące go wołanie, gdy wtém poznał bliskie skomlenie psa i usilne drapanie nóg tegoż w śniegu. Błogi promień nieomylnego przeczucia, zatlał pełnym blaskiem w jego zwątpiałem sercu, kiedy głuchy odgłos ludzkiéj mowy, coraz żywiéj i wyraźniéj go dochodził.

Obrócił się ku ojcu i Maryi, pocieszając ich, to wznosił dziękczynne ręce i z łkaniem dziecinném błagał Boga o przebaczenie za zwątpienie o jego pomocy, to znów, wyciągnąwszy ręce ku stronie zbliżającego się wybawienia, wołał: Bryndus! Bryndus!. tu, tu!.. i cmokał i wabił go ku sobie; — i o cuda!... w téj chwili ujrzał wysunięte dwie przednie łapy swego wiernego psa, potem łeb jego zasypany śniegiem, — a nareszcie jego całego, u nóg mu tarzającego się z radości i wspinającego się do piersi swego nieszczęśliwego pana.

Scena ta rozrzewniająca, nie długo trwała, gdyż pies jakby czuł, że ocalenie jeszcze nie zupełnie dokonane, porwał się nagle z miejsca, i tą samą norą, którą sobie wygrzebał, znikł z czeluści grobowéj.

Michał padł na kolana, wzniósł ręce do góry i zalał się łzami najgłębszego rozrzewnienia.

— Moi drodzy!.. rzekł do stojących za sobą w niejakiém oddaleniu, niemych z osłupienia i omdlałych od kilkodniowego konania, wkrótce ujrzymy światło dzienne i żyć będziemy!.. Bryndus był tu,—przekopał się przez śnieg, on posłanikiem naszego ocalenia. Maryo, idź po Pawełka, otul go, zabierz czemprędzéj ze sobą i przynieś go do nas.

Wkrótce dało się słyszeć radośne szczekanie psa, który naprowadził ludzi ku norze.

Nie upłynęło pół godziny, a już ustąpiła jedna najsłabsza ściana śniegu przed łopatami rączych zbawców, a z tém ustąpieniem zabłysnął pierwszy blask dziennego światła dla zasypanych i oblał swém miłym promieniem ich blade oblicza.

Na widok prawie cudem ocalonéj familii Grabków, przy któréj nieco pokrzepiony snem i lekarstwem znajdował się i Paweł, powszechny okrzyk radości rozszedł się pomiędzy licznem zgromadzeniem mieszkańców Zagrobeli, którzy, jak się pokazało, już od Bożego Narodzenia z największą troskliwością dzień i noc pracowali nad przekopaniem śniegu do domku poczciwego Grabka, lecz to wszystko byłoby nadaremném, gdyby Bryndus nie był wynalazł najbliższej drogi do miejsca zasypanych swych gospodarzy i na takową kopaczy nie naprowadził.

Kiedy stary Grabek z Maryą, Michałem i schorzałym Pawełkiem, wyszli pod otwarte niebo z katakomby grobowéj, odrzucono drągi, łopaty i wszelkie przybory do kopania i witano ocalonych z niemém uczuciem podziwu i radości.

W kościołku Zagrobeli dzwoniono właśnie na summę Nowego Roku.

Na odgłos dzwonka, stary Grabek, którego wiara w Opatrzność Najwyższego nie omyliła, blady i drżący od zimna, z głową jak śnieg białą, wzniósł ręce do góry i zawołał uroczystym głosem: „Pochwalone niech będzie imie Najwyższego Ojca i Pana wszechświatów, — kto mu zaufał, nie zginie na wieki!..“

Zaprowadzono, jakby w processyi, familią Grabków na probostwo, do mieszkania plebana, gdzie pozostali tak długo, dopóki nie przyszli do dawnych sił i nie utorowano wygodnéj drogi do ich zasypanego domku.

Pawełek wrócił prędko do zdrowia, a ksiądz pleban, w odwecie za utraconą Gwiazdkę Bożego Narodzenia, przygotował dla niego choinkę na Trzech Króli.

Stary Grabek, gdy całe przeminęło już nieszczęście, milczący dotąd ciągle, otworzył wreszcie usta i szepnął z cicha:

— Umrę wkrótce, bom zblizka oglądał Boga.

KONIEC.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.